

## WSPOMNIENIA Z ŻYCIA

autobiografia księdza kapelana kapitana Józefa Słabego  
(na podstawie rękopisów)

**„O gdybyśmy mieli własne dzieje czytać,  
I każdą garść tej ziemi o przeszłość zapytać,  
Ach, z jakąż by miłością rzekła nam o sobie,  
O życiu pradziadów i pradziadów grobie.”**

To słowa z pierwszej strony rękopisu księdza kapelana kapitana **Józefa Słabego**, oficera wojsk austriackich w wojnie światowej, oficera wojsk polskich w czasie wojen ukraińsko-bolszewickich a następnie wikarego w Łanowicach, kapelana w Przedzielnicy, wikarego w Dobromilu i Jedliczu, profesora w gimnazjum w Borysławiu, wikarego w Łańcucie oraz proboszcza Ułanów Podolskich w Białokrynicy pod Krzemieńcem na Kresach Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

**Józef Słaby** w swoim pamiętniku zatytułowanym „**Wspomnienia z życia**” **Tom I** w grudniu 1916 roku w miejscowości **Szombathely na Węgrzech** pisze: „Najrozumialsze są powody pisania książek. Jedni piszą, aby światu okazać nieznaną dotąd prawdę, drudzy aby moralnie wpłynąć na społeczeństwo i odrodzić je, inni zaś, aby potomności przekazać świetne czasy w historii czy też literaturze. Jest jeszcze bardzo wiele innych powodów, o których można by całe tomy pisać.

Ja zaś chcę zaznaczyć na wstępie „w jakim celu, Wspomnienia z życia napisać postanowiłem. Przede wszystkim chcę potomkom rodziny mej pozostawić źródło, z którego mogliby się dowiedzieć jakie czasy przeżywali ich przodkowie, jakie w danym czasie panowały stosunki, jak wyglądała wówczas wieś, jaki udział w wojnie brała wieś, a jaki moja rodzina. Ja bardzo bym się cieszył, gdybym dziś mógł coś wiedzieć o moim pra - pra - pra - dziadku. Powiedziałby ktoś:”Co by ci z tego przyszło, gdybyś wiedział, co twój pradziad robił, jaką odgrywał rolę”. Ten niech odpowie sobie na to pytanie:”dlaczego tak wciąż wysilają się ludzie aby wiedzieć to czego wiedzieć niepodobna i dręczą się, że nie wiedzą, chociaż gdyby wiedzieli, też by im z tego nic nie przyszło”. Jestem przekonany, że każdy chętnie czyta ustępy traktujące o dziełach jego ojca, dziadka, o przeszłości jego rodziny.

Gdy miałem lat 5 obumarła mnie babka Katarzyna Słaba; w 7 roku mego życia umarła siostra mej matki Anna Padiak w 24 roku życia i jest pochowana na cmentarzu w Tuczempach, podczas gdy brat Władysław i babka leżą na starym cmentarzu w Jarosławiu. W 11 roku życia dostałem wiadomość o śmierci wuja Aleksandra Padiaka w Chicago w Ameryce. Opuścił on dom albowiem rodzice jego nie chcieli zezwolić na małżeństwo z Jadwigą z Kmieciów. W 18 roku życia umarł mi dziadek Jan Słaby mając 72 lat i spoczywa na cmentarzu w Tuczempach. Zaś w czasie inwazji w 1915 roku zmarła babka Marja Padiak i też spoczywa w Tuczempach. Ojciec matki mej Jan Padiak żyje licząc obecnie 73 lat wieku. Brat Jana Padiaka Michał ożenił się z Czeszką z Chlumca i zamieszkał we Lwowie, jako zarządca Kasyna Narodowego. Zmarł w 1918 roku. Z tą gałęzią Padiaków – rodzina ma utrzymuje najprzyjaźniejsze stosunki. Z tej rodziny pochodzą: Maryja, Julek obecnie oberlejtant i Władysław praktykant konceptowy w Namiestnictwie, ożeniony z Kazimierą Domini.

***W służbie Ojczyzny.***

***Dzieje i tragedie. W ostatnim roku dziewiętnastego wieku.***

W roku 1899 w jednej z wiosek Małopolski na podwórku gospodarskim siedziało dziecię i jadło chleb z masłem. W tem przyszedł kot i pomagał mu w jedzeniu; dziecię nie odpędzało kota lecz gładziło jego jak węgiel czarną sierść. Za chwilę przywłókł się jakiś pies bejszajski, na którego widok kot dał drapak a pies wyrwał dziecięciu chleb z rączki. Dziecię zaczęło płakać. Płacz dziecka sprowadził matkę, 20 letnią kobietę, która posadziwszy dziecię na kolanach, karmiła je mlekiem i bułką.

Jesienią tegoż roku wzięła matka synka za rączkę i poszli razem do sąsiedniej wioski, w której miał kwaterować **6. pułk ułanów austriackich**, w którym jej mąż odbywał ćwiczenia, jako kapral w rezerwie. I rzeczywiście, po krótkim oczekiwaniu wjeżdżał szwadron do wsi, a matka potrząsając ręką chłopca, odezwała się: „Patrz, patrz ! Może poznasz tatusia.”

Przyglądał się mały uważnie każdemu ułanowi, ale ojca nie mógł dostrzedz. Jechała ostatnia rota. W niej dopiero poznał ojca, okrytego grubą warstwą kurzu, siedzącego na spienionym bułanym koniu. Kapral zobaczywszy żonę i synka, zeskoczył z konia, którego oddał swemu koledze i witał się z żoną, całował syna. Po rozmieszczeniu szwadronu, po wydaniu rozkazów, cała trójka udała się do rodzinnego domu. Chłopiec idąc koło ojca, podskakiwał, dotykał się szabli, spoglądał na białe rękawiczki, na gwizdek kotyszający się na czerwonym sznurku, na błyszczące ostrogi. A gdy na drugi dzień ojciec w inne wyruszał strony, synek żegnał go z płaczem.

### **W siódmym roku życia.**

W siódmym roku życia zaprowadziła matka chłopca do szkoły, do zapisu. Stary, siwy nauczyciel, a był nim pan **Skoczyński**, tłumaczył chłopcu, aby w oznaczonym dniu, na głos dzwonka szkolnego, który wisiał na słupie obok szkoły, przyszedł na naukę.

Mały z niecierpliwością i ciekawością oczekiwał oznaczonego dnia, a gdy odezwał się dzwonek, wziął elementarz i tabliczkę do torby z płótna i ze strachem pobiegł do szkoły.

I odtąd przez lat pięć pobierał naukę, nie wiedząc na co mu się ona w życiu przyda. Nie zdawał sobie z tego chłopczyzna sprawy, iż nieraz mu ona w życiu gorzkie łzy wyciśnie, łzy niezadowolenia, rozpacz, bo nie da mu ona szczęścia, bo inaczej życie wygląda w książce, a inaczej w rzeczywistości; nie wiedział, że będzie żałował, że nie został nieukiem uprawiającym w spokoju ducha zagon ojczysty. Uczyłem się w szkole i uczyłem się w domu. Ojciec chciał ze mnie od razu zrobić uczonego człowieka, więc pokazywał mi jak się piszą litery, a gdy tego naraz pojąć nie mogłem to ciągnął za uszy i prał pasem. Skończył się rok szkolny, dostałem pochwałę i dobre świadectwo. Nastaly wakacje. Na wakacjach pasłem krowę na pastwisku. Szkołę we wsi odwiedzałem, ale nie tylko odwiedzałem, ale się też uczyłem jak profesor twierdził „najlepiej ze wszystkich” przez 5 (pięć) lat. Pan Skoczyński radził rodzicom, aby mnie oddali do szkoły w Jarosławiu. Spodobało się to rodzicom i razu pewnego matka wzięwszy dzban mleka, poszła do dyrektora szkoły im. Konarskiego i tam mnie zapisała do III klasy. Było to roku 1905.

Odtąd zaczęło się dla mnie inne życie. Codziennie wstawałem o godzinie 5 rano, jadłem mleko i chleb, brałem książki pod pachę i maszerowałem 6 km do szkoły. Często padał deszcz i były bardzo wielkie błota. Wtedy ojciec odwoził mnie do rogatki i wracał. Gorzej było gdy przyszła zima. Wiatr mroźny rzucał śniegiem w oczy, oraz golił po nieokrytych częściach ciała. Gościńiec był pełen śniegu, końmi przejechać nie było można, więc wtedy zaciągnąwszy kominiarkę na głowę maszerowałem do szkoły. Przez 5 lat odbyłem drogę pieszo do Jarosławia i z powrotem przechodząc 22 tysięcy 500 kilometrów. Dziś sam podziwiam tę siłę, która mnie wówczas tak pchała do nauki mimo tych przeszkód. Uczyłem się świetnie. Byłem najlepszym uczniem w klasie. Noty na świadectwie były „bardzo dobry”, innej by ze świecą nie znalazł.

### **Tuczempskie cuda.**

Razu pewnego, jako uczeń III klasy gimnazjum wziąłem w rękę gazetę starą („Chata” z 1894 r. redagowana przez Ks. Michnę) i właśnie natrafiłem na ustęp, który zawierał całą historię walki chłopów z ks. Baranowiczem z cerkwi w Tuczempach. Raz rozżłoszczony z tego powodu iż chłopci

brali glinę z jego pola w kazaniu na samym początku zawołał: „swiniaki, paciuki” ; innym znowu razem, a było to na rezurekcji, gdy Polacy zaczęli śpiewać: „Wesoły nam dziś dzień nastał”, on obróciwszy się zawołał: „Halt, ne wilno”. Za dużo dobrego było więc chłopom i dlatego to postanowili zmienić obrządek, a gdy starostwo zaczęło robić trudności, oświadczyli chłopom iż w przeciwnym razie staną się wyznawcami Lutra. Jak go kijem tak go pałą. Teraz musieli Polacy drałować 6 kilometrów do Jarosławia do kościoła, w razie choroby po księdza tamże jeździć i zmarłych do Jarosławia na cmentarz wozić.

Powstała więc myśl zbudowania kościoła. Rozesłano na wszystkie strony tak zwanych „kwestarzy”, aby zbierali pieniądze na budowę kościoła. Jednym z takich był mój wuj **Alexander Padiak**. Wreszcie przystąpiono do budowy kościoła i powoli rósł, rósł, aż wzrósł. Wystawiono go na wzniesieniu i z dala widać było wznoszącą się ku niebu sygnaturkę. Gdy kościół wybudowano, przeznaczył biskup przemyski **Józef Pelczar** dla Tuczemp samoistnego expozyta w osobie ks. **Jakuba Zycha**, rodem z Korczyny, żołnierza 34 pułku Obrony Krajowej, człowieka bardzo zacnego, silnego charakteru, który co raz postanowił, żadnymi czasy tego nie odmówi. Przybył on chory, albowiem pochodząc z chłopskiej niezamożnej rodziny, sam własną siłą, wolą niezłomną, przeszedł przez życie, a to odbiło się na jego zdrowiu. Ponieważ nie było plebanii, więc wedle umowy z panem **Micewskim** mieszkał w oficynach dworskich; później zaś gdy wybudowano plebanię tamże się przeniósł.

Tak więc stanął kościół, powoli wznosiła się plebania; pieniędzy na dzwonnice nie było, więc dzwony na rusztowaniu drewnianem umieszczono. Zdawało by się, że Polacy i Rusini powinni by byli zaprzestać kłótni; gdyż jedni chodząc do cerkwi, drudzy do kościoła, powinni by być zadowoleni. Tak jednak nie było Przyczyn i pozorów do sprzeczek nie brakowało.

I tak np. Rusini twierdzili iż żadne dzwony tak dźwięcznie nie dzwonią jak dzwony w cerkwi. Polacy śmiali się z tego. Kpili też z klepania obręczy w Wielki Tydzień, oraz z zamykania dzwonnicy na kłódkę. W odniesieniu do zamykania dzwonnicy powiadali chłopcy: „**Skobel z kielbasy, kołotka ze sala; pociągnął za skobel, kołodka odpała.**” Polacy narodowo uświadomieni wystawili Mickiewiczowi pomnik koło cerkwi, przy drodze do Morawska i Łowiec prowadzącej. Na postumencie z cegieł wznosiło się popiersie wieszczka. Włościanie z okolicznych wsi przejeżdżając koło pomnika, często uchylali czapek myśląc, że to” święty” z widocznej cerkwi. Pomni z głupoty i złości odbili kawałek nosa, albowiem popiersie było z gipsu. Razu jednego chłopci z Łowiec jadąc na jarmark pytali: „Hej gospodarzu, a co to za święty bez nosa?” Za kilka tygodni kupiono kamienne popiersie. Koło muru około cerkwi wznoszącego się prowadzi z jednej strony droga. Rusini pod pretekstem iż mur się niszczy, zakopali na środku tejże drogi słupa drewnianego, albowiem pragnęli w ten sposób dokuczyć Polakom. Polacy po kilku dniach słupa piłą zerżnęli przy samej ziemi. Złość Rusinów nie miała granic. Kupili więc 4 metrową szynę na kolei i zakopali ją na środku tejże drogi. Co dzień jeden z nich chodził pilnować szyny. Nadeszło nareszcie święto Wielkanocy. Straż zmniejszyła czujność, a tymczasem kilku Polaków przyjechało z końmi, zaprzęgli je do szyny, wyciągnęli z ziemi, zawieźli do stawu koło młyna i tam utopili. Rano, w dniu w którym miała się odbyć rezurekcja przychodzi kościelny **Michał Smoliło** i aż mu włosy dębem stanęły. Zrzucił płótniankę i na całe gardło krzyczał iż szyny nie ma. Został tylko ślad, którą wędrowała szyna. We święto Zmartwychwstania szli Rusini do stawu, dobyli szynę i schowali ją w cerkwi za ołtarzem.

Wymieniwszy już tą osobliwość jaką w Tuczempach oglądać można, należy też pamiętać o karczmach jakie tu były. Było ich trzy. Dawnymi czasy ruch ożywiony w nich panował, teraz zaś cisza je zalega.

Do cudów w naszej wsi zaliczyć należy kancelarję gminną, małą kuczę słomą krytą, stojącą koło szkoły. Dziś w 1935 r. mieszka w dawnej kancelarji Blok, który w 1941 r. zamienił ją na stajnię. Wspomnę jeszcze iż na cmentarzu z początku chowano tylko Rusinów. Polaków wożono do Jarosławia. Gdy zaś kościół wystawiono tak Polacy jako też Rusini kładą się na miejscowym cmentarzu na spoczynek wieczny.

Wspomniawszy powyższe opiszę teraz mieszkańców i ich życie, sposób rządzenia się gminy. Będąc 8 letnim chłopcem czytałem w gazecie artykuł o Tuczempach. Pomiędzy innymi, było tam

napisane:”Ludność Tuczemp składa się z Polaków, Rusinów i Żydów. Polacy są narodowo uświadomieni i mówią językiem literackim, językiem w którym uczeni piszą dzieła, nie zaś żadnym narzeczem. Byłem za mało rozwinięty, aby wtedy sąd o tem jakiś wydać. Później zaś, gdy trochę mózgowica ma się rozjaśniła, wtedy sam to zauważyłem. Czystą polszczyzną mówią Polacy z Tuczemp. Inaczej zaś jest w sąsiedniej Muninie i Morawsku, gdzie już wkradło się narzeczce. Całe dnie spędzają pracując, a wieczorami schodzą się po kilku do sąsiada i gwarzą o rozmaitych rzeczach. Jeden opowiada coś o Trylogii Sienkiewicza lub czyta gazetę, a inni słuchają.

**Cała wieś co 6 lat wybiera wójta aby niemi rządził. Ja zaś twierdzą iż wójta po to wybierają aby mieli kogo lajać i na kogo krzyczeć. Wójt odbierając urządowanie dostaje pieczęć, którą w szafce na kilka spustów zamyka, aby mu jej dzieci nie wyciągnęły i nie zgubiły. Gdy już trochę się z pieczęcią oswoi to nosi ją w kamizelce aby w razie potrzeby wydobyć i kilkukrotnie chuchnąwszy odbić na przekazie lub recepisie. Czasem chuchając dwa do trzy razy odbija pieczęć przyciskając dwoma rękami z całej siły, aż pot panu wójtowi obficie z czoła płynie. Więc czynność wójta jest uciążliwa. Wybór odbywa się w ten sposób iż schodzą się chłopcy do szkoły i tam kartkami głosują tajnie.**

*Skończył się rok szkolny, nastaly wakacje i rodzice kazali dalej bydelko paść. Pastłem więc krowy i uczyłem się z książek z 4 klasy ludowej przy pomocy studenta **Franciszka Dyrkacza**.*

*Postanowiłem bowiem nie chodzić już do szkoły ludowej, ale zdać egzamin do gimnazjum. Nadszedł czas zdawki. Poszedłem z matką do zapisu i zapisano mnie. Na drugi dzień zasiadłem do egzaminu i zdałem do I klasy gimnazjum. Tak więc mając 12 rok, wdziałem mundur gimnazjalny w 1906 roku.*

*Teraz byłem już panem. Tatuś kupił mi czapkę studencką, czarne portki, sukienką bluzę i płaszcz. Książki od starszych kolegów kupiłem stare, każda kartka była z osobna. Najlepiej podobała mi się zoologia, w której różne zwierzęta były malowane. W lecie wychodziłem z domu o 5 ¼ rano i idąc do Jarosławia gościńcem uczyłem się, lub powtarzałem lekcje. O wiele gorzej było w zimie. W zimie tatuś wstawali rano, zapalali chmielinami w piecu i gotowali mnie mleko.*

*Podjadłszy sobie, zaciągałem kominiarkę na głowę, szedłem do **Jana Cichowlasa**, który o 2 lata wyżej chodził odemnie i razem maszerowaliśmy do Jarosławia. Tam napiwszy się herbaty, szliśmy do klasy. Naukę łatwo pojmowałem, więc w domu mało co się uczyłem. W domu często pomagałem rznąc sieczkę lub też mlóciłem z ojcem. Na wakacjach zaś, ukończywszy I klasę pastłem krowy i czytałem książki. . Ponieważ czasem byłem zmęczony, więc szedłem na stację, wsiadałem do pociągu osobowego lub ciężarowego i jechałem do **Muniny**. Bardzo często pociąg w Muninie nie stawał, więc wtedy wyskakiwałem. Raz jechał pociąg ciężarowy z Muniny do Jarosławia bardzo powoli. Wskoczyłem do .....ale w niej drzemał konduktor. Obudził się a ja czempredzej wyskoczyłem.*

*W trzeciej klasie gimnazjum uczył mnie historii pan **Jacek Zieliński**. Razu jednego woła mnie na środek i powiada: ” **A gotowałeś się ty chłopcze na dzisiaj ? . No zaraz ,baranie rogi zobaczymy” A powiedz no mi dlaczego chłop nie płaci kopytkowego gdy goni kurę na jarmark ?**” Ja zdębiałem na takie głupie pytanie i odpowiadam , że kury wozi się w worku, a nie pędzi na sznurku na targ. Wszyscy w klasie w śmiech a pan Jacek powiada: „ **Oj ty kobyła głowo,to ty nie wiesz tego , że kura ma małe kopyto i mało gościńca cesarzowi zepsuje, a ruszajrże baranie rogi na miejsce.**” Ja usiadłem, a on zapomniawszy jak ja się nazywam zapisał memu koledze **Sokołowi** niedostatecznie.*

*Za kilka dni woła mnie pan jacek znowu. Idę a wszyscy się śmieją. Ja też uśmiechałem się nieznacznie. Jacek znowu trzyma do mnie mowę: ” **mnie się zdaje, że „Ty” chłopcze znowu się nie gotował na dziś.**” „ **A powiedzno mi, dlaczego cesarz nazywa się najjaśniejszy?**” Ja nic na to. Jacek mówi: ” **No kobyła głowo, bo on ma najjaśniej w głowie. No widzisz baranie rogi, takie to trudne. A widziałeś ty cesarza?**” Nie, odrzekłem. Na to wskazując obraz, powiada: ” **No popatrz na haku wisi**”. Klasa ryczała ze śmiechu. ” **Jacek**” włożywszy dwa palce w nos powiada dalej: ” **A masz ty koszulę?**” „ **Tak jest**”, odrzekłem. **A z czego ona zrobiona ? Z wełny, bawełny, czy pokrzywy ? . Z perkalu, twierdzą. No a gdzie bawełna rośnie ?**” „ **Na bawołach w Ameryce**” woła z kąta **Osedowski Jasiek**, któremu Jacek rzekł za to, że nie uważał: ” **Staniej no sobie w koncie.**” Wszyscy w śmiech a Jacek mówi: ” **Nie pytam się ciebie jolopie jeden, ty bałwanie, ty koniu pana Boga**”. Pyta mnie dalej: ” **a masz że ty atlas?**” „ **Mam ale w domu**” mówię. „ **A cepy tobie, a widły do gnoju,***

**popatrzcie no chłopcy może on tam cepy przyniósł ? To ojciec tobie daje, matka pcha a ty baranie rogi atlas w domu trzymasz ? Ha ?. Sidnij że sobie.** Tu znowu Sokółowi zapisał dwójkę. Za kilka dni zaczął opowiadać o wilkach. Mówił: "Nasze chłopcy, jak jadą w pole, to biorą widły i cepy, boby im wilcy zjedli konie. No wy tego nie wiecie." Ja wtedy drzemałem i przez sen słyszałem jak coś o wilkach mówiono. Gdy wyrzekł słowa, wy tego nie wiecie, ja krzyknąłem: "Ja to wiem panie profesorze." „Odpowiedz no chłopcze”. Zaczęłam opowiadać: mój ojciec jak jedzie orać, to bierze w jedną rękę cepy, a w drugą widły, bo tam są ogromne wilki i zjadłyby konie". Wszyscy wstrzymują się od śmiechu, a pan Zieliński: "o, o, chłopcy słuchajcie, mnie może byście nie wierzyli, ale to wasz kolega opowiada, jego ojciec walczy z wilkami. To jest straszny strach". A jak ty się chłopcze nazywasz ? „Słaby panie profesorze" i zapisał mi pierwszą klasę. Na klasyfikacji miałem dobrze, a kolega Sokół niedostatecznie .

Innym razem : „ Wstawiaj chłopcze! Już czas się ubierać do szkoły". Tak odzywał się młody wieśniak do jedenastu letniego syna w pewien jesienny deszczowy poranek. Gorące mleko i kromka chleba na śniadanie. Za chwilę włożywszy jedną książkę za cholewę buta, a drugą ukrywając przed deszczem na pierśiach opuszczałem progi domu. Ciemno było bardzo i błoto ogromne. Nadto deszcz ostry siekł po twarzy, a wiatr przeciwny odpychał wstecz. Zmęczony wyciągałem nogi z błota i przebijałem się przez wiatr, a pot zmieszany z kroplami deszczu spływał po twarzy. Po półtoragodzinnym zmaganiu się z wiatrem, deszczem i błotem, doszedłem do miasta. Zanim poszedłem do szkoły, wstąpiłem jeszcze do kościoła, aby polecić się opiece Bożej. Po nauce, która kończyła się o godzinie pierwszej wracałem do domu i tak się to powtarzało przez długich, bardzo długich pięć lat.

Zimą, gdy mróz dochodził do 22 stopni, a cała wieś pogrążona była we śnie, tylko w jednym domku świeciło się, a przez niezupelnie zamrożoną szybę widać było, iż przy stole siedział student 3 klasy gimnazjum i chociaż to była dopiero godzina 6, jadł śniadanie. Matka leżąc w łóżku, odezwała się do niego: "Jakże ty tam pójdziesz na takie zimno? Psa szkodaby było wygnać w taki czas". Ojciec zaś chodząc po izbie mówił: "Idź spać, nie idź dziś do szkoły". Pójdę i poszedłem. Mróz był siarczasty. Droga była zawałona śniegiem po pas, tak że z trudnością mogłem się poruszać. Gdy przyszedłem do gimnazjum godzina się już zaczęła. Oczyszczywszy ubranie i buty ze śniegu, wszedłem do klasy. Profesor popatrzawszy na mnie z podoba przez okulary krzyknął: "Co ty bałwanie sobie myślisz, że tu hotel, a atlas ty masz ? Stań sobie w koncie. A cepy tobie, a widły do gnoju, a nie książki !" Tak to po odbyciu dwugodzinnnej drogi wśród ostrego mrozu stałem jeszcze przez godzinę w koncie. Cisza panowała w klasie, nikt się nie śmiał, tak że profesor z zakłopotaniem spoglądał po uczniach.

Nadeszły wakacje. Krów już tatuś pasać nie kazali. W domu usiedzieć nie mogłem. Znalazłem więc robotę na kolei. Kilka dni pracowałem ze ślusarzem, kilka dni z murarzem, kilka dni robiłem z chłopami w partji, kilka zaś dni wycinałem trawę. Tak pracowałem miesiąc; wakacje miały się ku końcowi więc zaprzestałem pracy i kilkanaście dni spoczywałem aby nabrać sił do nauki.

Zapisałem się do klasy czwartej. Kupiłem stare potargane książki, z których po kilka kartek wkładałem do notatki; notatkę wkładałem za cholewę w butach i szedłem tak codziennie do szkoły. Klasę czwartą ukończyłem z dobrym wynikiem i podałem się o przyjęcie do Małego Seminarjum w **Przemysłu**, mając zamiar wstąpić w szeregi duchowieństwa djecezjalnego.

Na wakacjach dostałem zawiadomienie iż zostałem przyjęty do Małego Seminarjum. Więc gdy się skończyły wakacje spakowałem książki i bieliznę do kufra i tatuś odwiezł mnie wozem do Przemysła. Ucieszyłem się bardzo, że skończyło się moje drałowanie do Jarosławia.

Ks. Rektor **Tomasz Wąsik** pokazał mi salę i łóżko, które miałem zająć. Teraz zaczęło się nowe życie. O godzinie 5/20 rano stary służący Antoni dzwonił na wstawanie; o godzinie 6 ks. Rektor odprawiał mszę świętą. Po mszy świętej każdy powtarzał lekcję, a o godzinie 7 cała brać szła na żarcie do refektarza. O godzinie 7/30 maszerowali wszyscy wychowankowie do gimnazjum po oświetlenie niemądrych głów.

Jeszcze się po gimnazjum nie oglądnałem, bo dopiero drugi raz przyszedłem, a już zrobiłem „skandal". Raz idę po schodach, aż tu ciągnie mnie jakiś młody panek za połą płaszcz. Odwracam się do niego i mówię: "Niby co sobie pan życzy?" A on do mnie po rusku: "Ty trutniu aden, czamu ty

*sia mene ne kłaniajesz”? Ja zrobiłem ostrą minę i prawię do niego: Niby jak; czy ja pana znam, z jakiej racji? On dalej mnie pyta: „Jak ty się nazywasz”? „Słaby z VI klasy Małego Seminarjum” i poszedłem. Na drugi dzień dyrektor trzymał do mnie mowę i kazał go przeprosić, a na trzeci dzień besztal mnie ks Rektor za to. Ja zaś słuchałem tego brzuchem i myślałem „gadajcie sobie zdrowi”.*

*Za kilka dni zapisałem się na stolarnię i raz wieczorem poszedłem tam. Wziąłem kawałek deski, zakręciłem do warsztatu i powiadam: „Panie profesorze a gdzie jest hybel?” Jak się pan **Błażek Bolesław** nie rzuci, nie krzyknie: „Co za hybel, jaki hybel, to się w naszym języku nazywa strug””, aż zdębiałem na takie powitanie. Powoli oswoiłem się z nowym gimnazjum, profesorami i bardzo byłem zadowolony.*

*Na wakacje pojechałem do domu. Ponieważ ojciec mego kolegi **Czopek** zajmował się regulacją Sanu, więc ja z Czopkiem Jaśkiem jeździłem na okręcie „Koperniku”, za opłatą 2 koron dziennie, którą co 10 dni pobierałem. Po wakacjach jako szóstklasista pojechałem na dalsze studia do Przemyśla. Po roku nauki pojechałem do Lwowa, stamtąd zaś wróciwszy pomagałem w robotach polowych w domu. Na tych wakacjach najwięcej czasu przepędzałem z panem **Bazyliem Hołowaczem**, wspólnie pracując i popijając. Wakacje w latach 1913/1914 zbliżały się ku końcowi, aż **nagle wybuchła od tyłu lat przewidywana wojna.***

*\*\*Dopisek po 24 latach. Byłem, jakobym nie był, Pozostał mi tylko grób. Matka zmarła na raka 1942, ojciec konający w 1944, a dawny dzieciak, pokryty siwizną maruda jak Hiob na dzień swych urodzin. Życie obeszło się z nim okrutnie. Z upragnieniem czeka na śmierć, jako na przejście do lepszego życia, mając wiarę i nadzieję w Bogu. Życie było krótkim snem, w przeważnej części strasznym i bardzo nieszczęsnym.*

### **Maj – raj – gaj...**

*W cichy, prześliczny wieczór majowy, grupa złożona z mężczyzn i kobiet, chłopców i dziewcząt dorosłych, oraz dzieci, kłęczała przed wiejską kaplicą i śpiewała litanie do N.M Panny. Wśród obecnych znajdował się też pewien 9 letni chłopiec, który razem z innymi śpiewał litanie i pieśni i z niecierpliwością czekał zakończenia nabożeństwa, bo wtedy czekała go bardzo miła czynność. Ot właściciel kapliczki, stary, siwy gospodarz, pozwolił mu gasić świece, co także czynił z wielkim namaszczeniem.*

*Po zamknięciu kaplicy wracał do domu, lecz nim drzwi otworzył stał długo przed domem i wsłuchiwał się w ciszę, przerywaną tylko czasem szczekaniem psa gdzieś w oddali, wpatrywał się w księżyc i w przecudnie migocące gwiazdy, a napatrzywszy się do woli, otwierał cicho drzwi i położywszy się do łóżka, pogrążał się w specjalny sen, właściwy dzieciom -, które przez cały dzień ani chwili nie ustały w miejscu, lecz były ciągle w ruchu.*

*\*\*Dopisek po 24 latach. Budowniczy i właściciel kaplicy dawno pomarł, a chłopak, który wówczas miał lat 9, w latach 1939 - 1941 w tej kapliczce w czasie nalotów bombowców odprawiał mszę św. Ale nie był to już maj, nie była to wieś spokojna i wesola, lecz tragizmu pełna, tak jak pełne tragizmu było serce wprawiającego mszę św. Od 1914 do 1939 roku cztery razy pożoga wojenna przesuwiała się przez wieś i okolicę, siwizna okryła tego, co ongiś świece gasił, jako 9 letni. Teraz sam kapliczkę otwierał, świece palił, mszę św. odprawiał, świece gasił, kaplicę zamykał i swej chorej na raka matce, nosił komunię św. Tragedia życia.*

### **Wieczorem.**

*W długie, jesienne i zimowe wieczory zgromadzali się sąsiedzi i sąsiadki w domu gospodarza Wojciecha. Przychodził tam też gospodarz **Józef Karczmarz**, który ongiś w jednym z węgierskich pułków konnicy pełnił służbę. On to zazwyczaj zabierał głos i opowiadał różne epizody z „Trylogii” Sienkiewicza. A tak umiał barwnie, żywo i z gestykulacją wszystkie sceny odtworzyć, że obecni godzinami słuchali jego opowiadań. Przesuwały się przed słuchaczami sceny z oblężenia*

Częstochowy, Zbaraża, Kamieńca, postacie Kmicica, Skrzetuskiego, Zagłoby, Wołodyjowskiego, Heleny, Basi, a wszystkie postacie tak scharakteryzowane jak gdyby je opowiadający tysiąc razy oglądał, a wypadki tak opowiedziane, jak gdyby w nich brał osobiście udział.

Przysłuchiwał się tym opowiadaniom razem z innymi syn Wojciecha i pewnego razu tak zagadnął opowiadającego: „A skąd wy to tak dokładnie znacie”? On zaś tak odpowiedział: „Lubusiu, ja czytam całymi wieczorami. Nieraz nawet nad ranem piania koguta nie słyszę, taki jestem zaczytany. Raz moja stara obudziła się w nocy, i powiada, abym zgasił światło i poszedł spać, a ja jej na to: „Ty stara nic nie wiesz, gdybyś ty wiedziała jak Bohun uciekał, jak mało szarawarów nie zgubił, to by ci się spać nie chciało.”

Uśmiało się całe audytorium, a ponieważ zegar wskazywał godzinę 11, rozeszli się do domów, aby nazajutrz znowu się zgromadzić. Małemu bardzo się podobały te opowiadania, przetrawiał je w myśli i prosił Boga, aby mógł dożyć czasów, w których dane by mu było oglądać szeregi wojsk polskich.

**\*\*P.S.** Karczmarz w 1942, zimą zmarł na tyfus w szpitalu w Jarosławiu, dokąd go odwozła kolumna sanitarna. Nie wiadomo gdzie pogrzebany, czy na cmentarzu w Jarosławiu czy na polu obok szpitala. Na nim wygasł jego ród. Wiele pracował a nic z tego nie miał, bo go złodzieje okradali.

### **Tempora mutantur.**

Jak już wspomniałem od klasy V. gimnazjalnej poczuwszy, los dla małego wędrowca po złote runo okazał się laskawszy. Dzięki dobrym ludziom, „za pośrednictwem p. **Micewskiej**, za poparciem ks. bpa **Fischera**, zostałem przyjęty po ukończeniu 4 klasy gimnazjalnej w Jarosławiu, do Małego Seminarium w **Przemysłu**” i tam otrzymałem, w odległym o kilka mil starożytnym mieście, wówczas twierdzy, mieszkanie i utrzymanie i tam dalsze pobierałem nauki. We wrześniu 1912 r. wyjechałem wozem na dalsze studia do gimnazjum na ulicy Słowackiego.

Skończyły się codzienne, dwumilowe wędrowki do szkoły, a ponieważ nie potrzebowałem wiele czasu poświęcać na przygotowywanie się do lekcji, siedziałem w godzinach popołudniowych w obserwatorium szkolnym i badałem kierunek wiatru, jego siłę, opady atmosferyczne, ciśnienie powietrza i wszystko notowałem z największą ścisłością. Wieczorem zaś zeszedłszy do stolarni gimnazjalnej zrzucałem bluzę, a zakasawszy rękawy koszuli strugałem deski, kleiłem, robiłem różne sprzęty potrzebne w życiu codziennym.

Profesor zaś matematyki, kierownik często przyglądał się mojej pracy i od czasu do czasu mówił „Lepiej deskę prostą urznąć, niż pierwiastek wyciągnąć” „Zrób mi czop, a ja ci powiem coś ty wart.” I miał rację. Profesor polonista był bardzo wymagający i trzeba się było bardzo pilnować, aby mieć notę dostateczną. Na nieszczęście musiałem się uczyć ruskiej literatury, czego w Jarosławiu nie uczono. Zacząłem w V klasie od abecadła. Profesor był bardzo miły. **Zahajkowicz** się nazywał. W VI klasie profesor **Grzech** był bardzo wymagający, a do mnie czuł antypatję, bo mu się raz nie ukloniłem, gdyż go jeszcze nie znałem. Często mnie pytał, ale nigdy mnie nie złapał nieprzygotowanego i musiał mi dać notę dobrą. Dyrektor gimnazjum **Bojarski** codziennie przed pierwszą lekcją spacerował przed szkołą i oglądał każdego ucznia od stóp do głowy. Czy jest przepisowo ubrany. Solidny to był mężczyzna. Rektorem gimnazjum gdzie mieszkałem był ks. Wąsik, dla mnie bardzo antypatyczny, do którego nigdy nie miałem zaufania. Na nas spoglądał spoodełba i często mówił: „Jak ci się nie podoba, drzwi otwarte”. Faworyzował jednych, którzy chodzili na tańce udając, że tego nie wie. Ale wyszło szydło z worka i ks. biskup Nowak odebrał mu rektorat. Utrzymanie było bezpłatne. Ja jednak osiągnąwszy w przyszłości stopień oficerski, zapłaciłem za dwuletni pobyt w tym zakładzie, ku zdziwieniu rektora, bo jeszcze dotąd taki się nie znalazł.

Gdy zaś który z chłopców nie mógł sobie poradzić z jakąś robotą i zwracał się do profesora, że nie może tego zrobić, profesor się nie wypowiadał, tylko kurząc fajeczkę uśmiechał się i wskazywał na ogromne tablice wiszące na ścianach, a głoszące „**Niema niemożliwości – jest tylko brak woli.**” Gdy wracałem na wakacje, wiozłem z sobą plon swej pracy stolarskiej, kufer, wieszak, szafkę na książki, wiszącą i stojącą, stół, przyłóżek.

*\*\*Profesorem tym był **Błażek Bolesław**, Ślązak, który w 1939 uczył w szkole rolniczej w Cieszynie i podawał wiadomości meteorologiczne do radia. Dziś w 1946 roku pewnie nie żyje. Był to bardzo dobry człowiek.*

## **Wojna**

W lipcu 1914 roku ukończyłem VI klasę gimnazjum i wyjechałem do Tuczemp na wakacje. W czasie wakacyj pracowałem w domu i przy regulacji Sanu z kolegą Czopkiem. Wakacyj nie ukończyłem w spokoju, bo 1 sierpnia 1914 roku ogłoszono mobilizację od 21 do 42 lat. *I spełniło się gorące życzenie Rosji popieranej przez protestancką i żydowską Francję oraz takąż samą Anglię. Austria wypowiedziała wojnę Rosji. Zaraz po wypowiedzeniu wojny Serbii wydał cesarz austryacki manifest „Do moich ludów” i zarządził częściową mobilizację, która miała być zapowiedzią mającej się wkrótce pojawić mobilizacji ogólnej, która w naszych Tuczempach przedstawiała się następująco: W sobotę wieczorem dnia 1 sierpnia wyszedłem z domu i stanąłem koło płotu. Idący z kolejowej roboty **Andrzej Mrozowicz** przyszedł do mnie i oznajmił mi, że o godzinie 5-tej nadeszła ogólna mobilizacja, ale jeszcze ogłoszoną nie jest. Wieść o tem piorunem rozeszła się po wsi. Zakotłowało się w spokojnej wiosce, zaniepokoiili się mieszkańcy i kilkunastu popędziło do wójta, aby ten pokazał im papiery mobilizacyjne, albowiem ktoś puścił pogłoskę, że wójt karty powołujące ukrywa, aby je w ostatniej chwili pokazać. Byłem i ja wtedy u pana wójta. Pan wójt **Jan Kmieć** właśnie zajadał kapustę, podchmielony nieco i trzymał pod pachą papiery jakieś w chustce zawiązane. Gdy chłopci domagali się aby im pokazał karty powołujące, twierdził uroczyście, że to tylko na rozkaz pana starosty pokazać może. Chłopci nie myśleli czekać aż jakiś tam pan raczy pozwolić na wydanie kart, ale wyciągnęli ręce po chustkę z papierami. Wójt uległ przemocy. Przeczytałem karty. Było ich 24. Ci którzy te karty dostali poszli do kościoła, by się wypowiadać na wojnę, a było to o godzinie 10 w nocy.*

*Wracałem do domu, gdy wtem spotkał mnie słuchacz Świętej Teologii **Franek Dyrkacz** i namówił mnie, bym się jeszcze wrócił na wieś. Idziemy, gdy naraz rozlega się potężny głos: „Wójcie! Wójcie!” Pędzimy więc dalej do wołającego i spostrzegamy, że jest to dzierzawca dóbr w Tuczempach; wracał on z Jarosławia, a gdy się już większa gromada ludzi zebrała, ogłosił on z polecenia starosty, mobilizację ogólną, roczników od lat 24 do 42. Wtedy głupio się zrobiło każdemu, bo to rzecz nowa i zaraz zaczął się płacz kobiet, które umieją tylko dwie rzeczy: płakać lub śmiać się. Wójt jeszcze i teraz nic nie chciał powiedzieć, ale twierdził, że on wie co ma robić. Udano się więc gromadami do sekretarza pana Antoniego Maksyma. Sekretarz też był nie trzeźwy. Wkrótce jednak znikły wątpliwości wszelkie, bo ze starostwa przyjechał żandarm i przywiózł ogłoszenia mobilizacyjne. Pobledli chłopcy, jak gdyby im za 24 godziny umierać przyszło.*

Ogromny ruch, popłoch ogarnął wieś. Płacz kobiet i dzieci słyhać było długo. 320 powołań do wojska nadeszło. Proboszcz ks. Zych całą noc spowiadał odchodzących na wojnę. Nazajutrz po południu każdy powołany wziął worek z bielizną i chlebem na plecy. Kilkadziesiąt koron do kieszeni i wśród łez, jakie mu się cisnęły do ocz na widok zostającej bez opieki gospodarki, żony, dzieci, opuszczał swą ukochaną rodzinną wioskę, ziemię swoich dziadów – by stanąć na miejscu tymczasowego przeznaczenia w Jarosławiu, a później w szeregach. Wieś wyglądała jak wymarła. Głucho i smutno było po odejściu 320 chłopów. Przeszedłem się po wiosce i zobaczyłem tylko gdzieniegdzie kilka kobiet z zapłakanymi oczyma; panowała cisza i pustka; psy nawet zmianę poczuły, bo szczełka przestały. Jedni pojechali, inni poszli do Jarosławia. Tam jedni 3 dni, inni 7 lub 8 błakali się zanim ich umundurowano. Wieczorem można było widzieć nie jednego, który ukradkiem przedarł się przez bramy lub płoty i przybiegł do domu, aby go może po raz ostatni zobaczyć i najeść się. Z pierwszym dniem mobilizacji ogromny ruch zapanował na kolei. Jechał pociąg za pociągiem wioząc wojsko, armaty, samochody, wozy czerwonego krzyża itd. Wojsko jadąc wystawiało czerwone chorągwie i śpiewając żegnało czapkami machając, stojących koło kolei wyrostków i starych włościan. Po mobilizacji na ludzi nadeszła mobilizacja na bydło. Każdy, który więcej niż jedną krowę posiadał obowiązany był sprzedać państwu. Przytem działały się różne nadużycia, gdyż urzędnicy gminni tak wszystko urządzali, aby czyje a nie swoje krowy sprzedać.



Ale kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Wkrótce bowiem zmieniły się czasy, a ci panowie brali nahajem po plecach. Wieś ożywiła się gdy artylerja z Głębokiej, zakwaterowała się, aby się zorganizować do wymarszu. We wsi umundurowały się trzy kolony kanonierskie i prosto w pole ruszyły. U nas w domu było 5 żołnierzy, 17 koni powiązanych do drzew na ogrodzie i jeden rymarz, którego porucznik często wiązał do słupka bo zawsze był pijany. Za kilkanaście dni pojawiły się w Muninie transporty rannych od Rawy Ruskiej. Ludność z Tuczemp, Muniny i Morawska wносиła im żywność, chleb, mleko, ser, masło, jaja i rozdzielali pomiędzy nich. Pewnego dnia, prosił mnie pisarz gminny<sup>6</sup>, abym w jego nieobecności pisał ludziom legitymacje – przepustki. Obiecałem. Po południu kolega **Pajtesz** prosił o przepustkę. Przepustkę więc mu napisałem. Na trzeci dzień przyjechałem z miasta i położyłem się na sianie. Wtem przyszło trzech żołnierzy z karabinami i zabrali mnie do Muniny. Poszedłem więc z tymi co bardzo często szpiegów łapali; a nigdy szpiega nie widzieli. W Muninie jeden jegomość w kancelarii pyta drugiego wskazując na mnie: „Czy to szpieg?”, a drugi zaś: „Dobrze go zamknąć aby nie uciekł”. A mnie omal wszyscy djabli omal nie wzięli gdy się patrzył na tych urzędników w wytartych porteczkach. Zaprowadzono mnie do kadeta. Temu objaśniłem rzecz całą i poszedłem do domu.

Za kilka dni pojechałem do Przemyśla; wzięwszy przepustkę od wójta z Tuczemp poszedłem do żandarmerji w Radymnie; tam potwierdzono moją przepustkę i wsiadłem do pociągu ciężarowego, który 2 godziny jechał do Przemyśla. Tu wpadłem djabłu w zęby. Na stacji był jakiś ślepy urzędnik z magistratu świętego z jaśnie oświeconymi rękawiczkami. Nadto koło drzwi stało dwu posiepaków. Ci przez jedyne drzwi wpuszczali do miasta. I trzeba się było świetnym urzędnikom wydać czystym, aby się dostać do grodu. Ludzi była kupa ogromna. Wreszcie przyszła kolej na mnie. Obejrzał moją przepustkę i powiedział, że ona musi być potwierdzona przez święte starostwo. Ja mu odrzekłem, że starostwa jeszcze tam nie zbudowali. Musiałem mimo to jeszcze raz jechać do Radymna i przywieźć z komendy stacji poświadczenie, że w Radymnie starostwa jeszcze nie ma. Dopiero wpuszczono mnie do miasta. Poszedłem do Małego Seminarjum, zabrałem me ubranie i udałem się do komendy w Twierdzy, aby mnie pozwolili opuścić miasto. Po 5-ciu godzinach dostałem pozwolenie a po 7-dniu godzinach opuściłem Przemyśl. Ponieważ klasy były pełne ludzi, jechałem na dachu pociągu. Tak mnie te hece zmęczyły, że postanowiłem w domu siedzieć spokojnie. Kilka dni młóciłem zboże. W tem nadeszła kolej aby iść na” wartę” do kościoła. Co noc bowiem chodziło dwu chłopów, albowiem Rusini odgrażali się, że podminują kościół. Tej nocy gwarno było koło kościoła, albowiem.....z pod Lublina cofał się, a nad Cieszanowem rozległa się luna. To Moskale i Austriacy zalewali spokojne niedawno okolice morzem płomieni.

Rano przyszedłem do domu i położyłem się spać. Jeszcze nie zasnęłam, a tu na podwórze zajechały dwa wozy z 15 ludźmi z Kobylnicy. Opowiadali, że uciekają przed Moskalami. We wsi popłoch coraz większy się stawał. Rozchodziły się wieści, że Moskale młodym obcinają nogi, ręce, wieszają itd. Złakłem się tego i poszedłem zgłosić się do wojska. Tam zobaczył mnie kolega jednoroczny i radził bym Bogu podziękował, że przy wojsku nie służę i do domu poszedł. Usłuchałem go. Za tydzień przyszli Moskale; ale nie taki djabeł straszny jak go malują. Przyjście Moskali poprzedziło kilka historyjek, o czy poniżej.

Po 15 września pojawiły się na niebie ogromne łuny za Sanem i słyhać było huk armat. Armja austriacka się cofała. Magazyny wojskowe w Jarosławiu płonęły. Ludność okoliczna brała z nich co tylko mogła. Dnia 16 września 1914 roku poszedłem na plebanję i tam z **Hołowaczem Bazylim** urządzaliśmy uprzęż na krowy, albowiem z powodu braku koni miał ks. **Jakub Zych** krowami jechać do Korczyny, a w razie potrzeby na Węgry uciekać przed Moskalami. Trzeba było dopiero krowy uczyć ciągnąć wóz. Więc służąca Maryśka wzięła liście z buraków, szła naprzód, dając krowom jeść, a ja z Hołowaczem szedłem obok wozu, trzymając lejce. Naraz krowy zaczęły pędzić jak szalone, my obaj omal nie wpadliśmy do studni. Powoli przyzwyczyły się. Dnia 20 /21 września 1914 roku trwała walka koło Malinówki i tej to nocy cofnęły się wojska austriackie minując most kolejowy na Sanie i most żelazny koło Radymna. We wsi pełno było Moskali, idących na Przemyśl. Rano poszedłem oglądać most wysadzony i poszedłem do Jarosławia, gdzie paliły się magazyny z żywnością. Ludzie brali co kto mógł: buty, płaszcze, konserwy, cukier, kawę, mąkę, rum, wino, sofy, łóżka, maszyny do szycia, dywany itp. Po południu wróciłem do domu, a

wieczorem poszedłem na stację, z której zabierali ludzie węgiel, deski, naftę, meble. Na stacji spotkali mnie Moskale i pytali „gdzie poszło wojsko austriackie”. Dnia 22 września cała wieś pełna była wojska rosyjskiego i armat. Armaty stały na ogrodach koło cerkwi. Dwa dni bez przerwy szli Moskale na Przemyśl, a 24 września słychać było huk armat z twierdzy przemyskiej. Moskale strzelali przez trzy dni i noc do pustych okopów. Zaczęło się oblężenie Przemyśla, które trwało trzy tygodnie. Przez ten czas pełno było rabusiów moskiewskich, którzy kupowali po 5 i 7 rubli świnię i opalali na sposób węgierski. Ze świń zdejmowali skórę, a kury zabijali pałkami. Teraz nienawiść ludzka zaczęła pokazywać się. Sąsiad chciał dokuczyć sąsiadowi. Nasz sąsiad wyprawił do nas Moskala po świnię. Drugi raz wyprawił 5 Moskali na nocleg. Inny raz po słomę, kartofle i wóz. Wieczorem siedziałem z ojcem u Maksyma. Wieczorem spostrzegłem, jak Czesi wyrwali okna aby się dostać do domu. Ja narobiłem krzyku, rabusie uciekli a przyszło dwu innych. Ci złapali ojca i pytali gdzie ten, który krzyczał. Ojciec im uciekł, a jeden strzelił dwa razy z rewolweru za nim. Maksym słyszał wszystko i pozamykał się na wszystkie możliwe sposoby. Zacząłem pukać do niego, ale nie wpuścił mnie. Przyszła mi na myśl bajka o Leszku i Mieszku, która uczy: „prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie”. Raz zebrał komendant „odcinka” koło Tuczemp wszystkich Rusinów, bo podejrzewał ich o zdradę( a bo Czesi każdego o zdradę podejrzewali) , postawił ich koło kościoła na górze, a Moskale prali z karabinów maszynowych. Potem dał rozkaz aby się pokładli na ziemi. Padł granat między **Karbowskiego Seńka** oraz **Kmiecia Wasyla** i przysypał ich ziemią. Żaden Rusin nie zginął. Za jakiś czas umarł Karbowski, umarł też i Kmieć Wasyl. Jeden Czech przyprowadził **Józefa Karczmarza** do komendanta i oskarżył go o zdradę. Mówił, że ten dawał Moskalom chustką znaki z pól spod Morawska. Karczmarz nie mógł się tłumaczyć nie znając po niemiecku i byłby został zastrzelony, gdyby nie interwencja ks. Zycha. 11 października Moskale obsadzili kolej, pola koło cmentarza ui oczekiwali ataku z góry łowieckiej i morawskiej. Gdy się zaś zaczęły zbliżać siły austriackie, uciekli za San. Ojciec wyjechał swemi końmi i wozem z taborami żandarmerji pod Kraków, ja zostałem w domu z matką, małą siostrą i małymi braćmi. Moskale odparci za San , tam się bronili od 15 października do 5 listopada, a we wsi były wojska austriackie. Koło Ostrowa Moskale zostawili 2 armaty, z których strzelali do ostatniej chwili, a u Andrzeja Mrozowicza ukryli się rusczy żołnierze, których zabrała patrol ułańska z Morawska. U nas w domu mieszkali oficerowie artylerji i była kuchnia oficerska. W tym czasie wieś była zasypywana gradem kul i granatów, a najbardziej cmentarz, bo obok na polu pańskim koło lipki i krzyża stała bateria. W domu nie można było usiedzieć tak huczały armaty; obrazy spadały ze ścian, okna pękały. Baterję z pola pańskiego przeniesiono koło cmentarza. Moskale szukali jej zasypując zagrody pociskami. Obserwator z baterji siedział na wieży kościoła. Spostrzegli go Moskale. 15 października 1 szrapnel ubił gzyms kościoła, a drugi wbił się w ścianę i do dziś go oglądać można. Za kolejną, od rampy, koło budki 169 aż do mostu koło stawu obok stacji stało 20 armat i ziały ogniem za San. Właśnie umarł wtedy **Jan Ledwos**. Przyszedł **Józef Kmieć** i prosił abyśmy z ojcem pomogli zanieść na cmentarz zmarłego. Trumna była zbita z niestruganych desek. Umarły wyglądał przez szpary pomiędzy deskami. Wzięliśmy na ramiona trumnę i przez ogrody i potok przeprawiwszy się zanieśliśmy trumnę na cmentarz z ojcem, który 20 października powrócił z „foszpanu”; nieśliśmy go na cmentarz i wtedy widziałem jak granaty wybuchając wyrzucały trumny z grobów. 15 października ponad 20 granatów padło na kościół. Jeden wybił dziurę w sklepieniu, a drugi od strony północnej ścianę wywalił. 20 i 21 października wybuchł pożar we wsi. W czasie tych walk poszedłem na plebanię. Granaty rozbiły stodołę księdza , na kościele nie została ani jedna dachówka. Moskale zaczęły strzelać. Poszedłem do piwnicy się schować. 20 października granaty zapalne zapaliły dom **Wojciecha Płoszaja** i bróg **Michała Majkuta**. W tym czasie żona Jana Płoszaja z dziewczyną prowadziła krowę przez most w Końcu. Granat pękł i zabił ją i krowę, a dziewczę uszło cało. Granat . zabił też **Karolinę Bukową** z Górki; wedle opowiadań miała ona być w domu **Andrzeja Mrozowicza** koło **Buka Antoniego**. Wszczął się wielki popłoch. Wszyscy wynosili sprzęty za stodoły na ogrody . Widać było różnaitości. Wojsko i ludność cywilna zaczęła uciekać w stronę Morawska. Zabierając ze sobą co który mógł. Jedni jechali na wozach, inni na koniach, inni szli lub biegli piechotą prowadząc krowy, cielęta , świnię. Cała rodzina nasza zamieszkała najpierw w lesie w Chłopicach, a potem w

Morawsku u **Kuźniarka**. Ja wziąłem krowy, brat Janek konia, matka Jagę i Stacha, a Władek wziął buty na plecy i popędził do Morawska. Za kolejną oddałem krowy matce, a sam wróciłem się do domu po chleb, który zawiozłem do Morawska. Tuczempianie 2 tygodnie byli w Morawsku, ja tylko 2 noce tam spałem a resztę w domu. **Z** ojcem często wracaliśmy do domu i siedzieliśmy w razie ognia granatów w piwnicy sąsiada **Maksyma**. Wtedy zginęła jedna 18 letnia dziewczyna. Nagle ustała strzelanina. Zaczął się szturm. To Moskale przeszli przez San koło Muniny i wpadli do wsi. Wojsko rezerwy wyparło ich. 21 października gradem pocisków zasypali Moskale Tuczempy. 22 października we czwartek była wielka bitwa. Ja z ojcem stałem w sieni. Wtem padł granat 18 cm przed naszymi oknami, pod ścianą Maksyma. Odłamki potłukły dachówkę, a ziemia przez powalę sypała się aż na sień. Ojciec chciał zamknąć drzwi na strych i z powodu wstrząśnień spadł z drabiny na ziemię. Poszliśmy do Maksyma aby się schować do piwnicy. Właśnie gdy przełaziłem przez parkan, przeleciał mi granat ponad głowę i padł za stodołą. Granatów wówczas koło nas padło około 20. Piątego listopada cofnęły się wojska austriackie w nocy. Madjarzy na odchodnym spalili kilka domów na Wychelówce. Znowu rano przyszli Moskale Nasze patrole były w Morawsku kryjąc odwrót. Ludzie zaraz rozebrali okopy, zbudowane z ich drzewa, koło kolei. Patrole czerkieskie spotkałem koło mostu kolejowego a ponieważ w czasie walk nad Sanem zdechło dużo koni na ich rozkaz cała wieś wyszła grzebać trupy nad Sanem i padłe konie. Ja schowałem się na strych i tylko przez pół dnia zakopałem 3 konie. Raz szrapnel cały przyniosłem do domu i postawiłem na szafie. Gdy to ujrzał pan Hołowacz nastraszył matkę, że kula pęknie, gdy czas na to przyjdzie. Kląłem ale musiałem szrapnel rzucić do sadzawki. Wiem, że mężatka, wdowa, czy panna urodzi „berbecia” gdy na to czas przyjdzie, ale żeby szrapnel też coś wspólnego z tym miał, to nie wiedziałem. Moskale z początku cicho się zachowywali, gospodarowali we wsi, potem rabowali trochę bydła, zabijali kury, większych szkód nie robili. Teraz ludzie dali upust swemu łakomstwu. I tak zniknęła pańska chałupa koło stawu, magazyn ze drzewem we dworze, stodoły dworskie. Zabierano meble ze dworu, wycinano drzewa, zwożono węgiel ze stacji, progi kolejowe, rozbierano budki kolejowe. **Ludzie w zwierzęta chciwe się zamienili**. Moskale dla dzieci mieli bardzo dobre i miękkie serce. Gdy musieli iść pod Przemyśl, szli ze strachem, nawet płakali. Ponieważ kościół był rozbity, ks. Zych odprawiał mszę w cerkwi. Moskale chodzili na mszę, modlili się, dawali ofiary na tacę.

Pociągi rosyjskie jeździły do Jarosławia i Radymna. W sobotę 28 listopada Moskale wyczyścili szkołę i założyli w niej szpital. 30 listopada od Przemyśla przybył do Tuczemp transport chorych na cholere, zmarłych chowano na wandołach, a filozof Hołowacz robił krzyże. 2 grudnia poszedłem na zajęcia za kolej z karabinem. Sowietci zaczęli rozbijać kancelarię gminną, ale ludzie ich odpędzili. Ponieważ baliśmy się aby Moskale nie zabrali nam prosiaka, w nocy ojciec zarznął go w komorze. Raz areoplan wyleciał z Przemyśla i zabił kilkunastu Moskali; rozbił armatę i kilka wagonów w Radymnie. Z Krakowa do Przemyśla latały aeroplany dosyć często. Moskale strzelali ale żadnego nie zestrzelili. Jeden śpi, drugi je, trzeci młóci, czwarty młynkuje, piąty gra w karty, inny jedzie w pole itd. Gdy ten, który jest na dworze zobaczy areoplan, pędzi zaraz do domu i woła: „Wstawaj Jasiu, chodź, nasz areoplan jedzie.” Zawołany Jasiu, gapi się, gapi i nic nie widzi; drugi mu pokazuje; no wreszcie zobaczył. Tymczasem ruch robi się coraz większy; wypada z chałupy ten, który jadł, który grał w karty, ze stodoły, który młócił i młynkował. Moskale też zobaczyli i strzelają ale areoplan szczęśliwie doleciał do Przemyśla.

Nadeszła wigilia Bożego Narodzenia. Ks. Jakub Zych zaprosił mnie i p. Bazylego Hołowacza na wieczór wigilijny 24 grudnia 1914 roku. Na Boże Narodzenie również zaprosił nas ks. proboszcz. 25 grudnia po południu przyszedł Moskal-czerkies w austriackim płaszczu, z dwoma nożami za pasem, zaglądnął do pokoju księdza i zagwizdał i poszedł do kuchni, gdzie już siedziało dwu innych czerkiesów. Służąca podała im herbaty, ja zaś paliłem z nimi papierosy i rozmawiałem. Potem dwu czerkiesów wyszło, jeden strzelał do lampek na słupie telegraficznym, drugi rzucał kijem za kurami. Wieczorem znowu ja, Hołowacz i **Czujko Piotr** poszliśmy na plebanię zagrać w szachy. Będący tam czerkiesi zobaczyli bieliznę księdza i poubierali się w nią. Zobaczyła to służąca i doniosła księdzu. Ksiądz Zych poszedł do pokoju w którym leżeli rabusie, a gdy na ich zbójckich cielskach zobaczył swą bieliznę odezwał się do nich: „Panowi!, To ja was ugościłem, a

wy mi taką przykrość robicie ?, a tego się po was nie spodziewałem”. Oni zaczęli mrużyć pod nosem i wszyscy odeszli z plebanii. Myśmy wszyscy poszli do sypialni księdza grać w szachy; na zegarze było przed północą. Wtem wpada do nas służąca i mówi przestraszona: ”Ci sami Moskale znowu przyszli i pukają do okien aby ich wpuścić – co zrobić ?” Kazaliśmy ich wpuścić. Jedna służąca poszła odemknąć Moskalom, a druga, Maryśka, zamknęła troje drzwi i też poszła za nią. Myśmy zostali w sypialni zamknięci na troje drzwi. Rabusie zaczęli je wyważać. Drzwi były bardzo silne. Wyważyli jedne drzwi nareszcie. Taka robota wydała im się za ciężka. Postanowili iść do celu przez okno sypialni. My wszyscy poszliśmy na werandę i czekaliśmy dogodnej sposobności aby umknąć. Sposobność się nadarzyła. Gdy dwu rabusiów weszło do sypialni, a trzeci pilnował drzwi w kuchni, , myśmy dali drapaką przez werandę i ogród dworski do wsi. Ja narobiłem alarmu i wnet gomady chłopów i kobiet ciągnęły z drągami na odsiecz do plebanii. Tymczasem uciekli Moskale zabierając buty, zimowy płaszcz, letnią pelerynę i kilka flaszek wina. Ci sami złodzieje podpalili budkę kolejową Nr 170. Następstwem tego napadu było, że ks. proboszcz spał u nas dwie noce, a na plebanii po całych nocach siedziało po kilka chłopów, grając w szachy, domino i karty. O tem napadzie chodziła następująca pogłoska : Rusini, a zwłaszcza jeden ze Zagród miał podmówić Kozaków by zamordowali księdza, jako odwet za internowanie ks. **Gockiego** z Ostrowa. Tenże Rusin miał stać w ogrodzie dworskim i tu czekać na wynik napadu. Oblężenie Przemyśla trwało dalej. Moskale mówili, że nadejdą armaty japońskie, a wtedy zdobędą Przemyśl. Wywozili ludzi z okolic pod Przemyślem do Tuczemp. Od czasu do czasu zajechał Moskal do dworu, nabrał drzewa i sprzedawał na wsi. Moskale śpiewali pijąc herbatę:

**Prusak pije kawu**

**Bo zdobył Warszawu.**

**A Rus pije czaj**

**Bo przegrywa kraj.**

Jeden z wygnańców spod Przemyśla opowiadał , że widział, jak Moskale przełazili przez druty koło twierdzy przemyskiej po drabinach i dużo ich zginęło. Ja też drabiny widziałem, więc uwierzyłem. 4 lutego 1915 r. przyjechało kilku Moskali i zaczęli szukać chłopów do kopania szanćów . Usłyszawszy to schowałem się w sianie na strychu u **Andrzeja Mrozowicza. Stefanowi Nodze i Józefowi Bednarzowi** zabrali ci sami Moskale sanie. Kobiety nie chciały oddać sań więc jeden Moskal uderzył żonę **Bazylego Hołowacza** nahajką. Wtedy baby rzuciły się na Moskala, wyróciły go w rów i w śnieg, deptały nogami i krzyczały „Moskal nas bije”. Raz w nocy piechota rosyjska wybiła dużo Kozaków, myśląc, że to nasza kawalerja. Moskale szyli w morawsku białe płachty aby niemi nakrywać armaty. **Pewnego razu Moskale zabierali drzewo z gorzelni dworskiej Córka jednego gospodarza Hanusia, chciała odebrać Moskalowi trochę drzewa. Moskal wyrócił ją w śnieg, podniósł spódnice i śniegiem natarł jej...”twarz”. Ona zaś mu odrzekła:”Szkoda, że taki stary jesteś; a „twarzy” jeszcze nie widziałeś”.**

Na plebanii mieszkało kilku doktorów rosyjskich. Raz poszli oni do wójta i zażądali aby on oddał im dubeltówkę, bo w innym razie powieszą go oraz najważniejszych gospodarzy z Tuczemp. Wójt dubeltówki nie oddał, a pogróżki spełzły na niczem. Na moście murowanym stał żołnierz rosyjski na straży. Nie wiadomo jakim sposobem maszyna kolejowa obcięła mu obie ręce. **Władysław Maksym** woził go do szpitala. Moskale atakowali na szanć Nr 13, ale zostali odparci; 4000 zabitych, a 6000 rannych. W nocy 20 lutego 1915 r. Moskale zabrali ziemniaki z kopca **Zofii Bednarzowej z Trelków** i naładowali na pociąg. Było około 500 kg. Ludzie obcy zawlekli do Tuczemp. U nas w domu leżała też kobieta chora na ospę.

Jeden z Rusinów napisał list, że u pana **Ochmana Marcina** jest broń i siodło austriackie. Przyszło kilku żołnierzy z doktorem rosyjskim i zabrali siodło nastraszywszy Ochmana. Doktorzy prosili księdza Zycha, aby ogłosił, żeby każdy kto ma broń oddał, a nadto oświadczyli doktorzy , że walki z Polakami zaczynać nie będą, jak tego chcą Rusini z Tuczemp. Było bowiem przekonanie pomiędzy Rusinami z Tuczemp, że Moskale będą wieszać Polaków, a grunta polskie Rusinom oddadzą. Smutne to jest, a jednak prawdziwe. Sam byłem świadkiem. Żołnierze rosyjscy raz odpowiedzieli Rusinowi, który pytał się, kiedy budemo rizaty Lachiw ? „I Lachiw ne budemo rizaty i wam ne damo hulaty”.

Pod Przemyślem tymczasem trwały walki aż nareszcie zobaczyliśmy w kwietniu ogromne słupy dymu nad okopami przemyskimi i jak piorun rozeszła się wieść” **Przemyśl się poddał**”. Polacy we wsi płakali; Rusini cieszyli się; zwątpienie zaczęło się wkradać w serca ludzi. Smutno było nam, bo zdawało się, że trzeba będzie się z Moskalami zostać; a zdrajcy nie zostaną ukarani. Ale Pan Bóg wszechmocny, a szczęście zmienne. Dnia 5 maja przełamano linię pod Gorlicami i musieli się cofnąć daleko, w głąb królestwa, na Wołyń, Podole, Polesie. Cofając się okopali się nad Sanem i znowu trwała w Tuczempach 8 dniowa walka. Moskale obstawili armaty na brzegu Sanu.; Austrjacy zaś i Niemcy koło domu pana Ochmana, Nogi Jerzego, na łąkach, za kolejną oraz pod Morawskiem. I znowu Tuczempy zostały zasypane gradem pocisków, a mieszkańcy znaleźli się w ogniu krzyżowym. Powoli znowu puciekali do Chłopic i Morawska i musieli tam siedzieć w lesie przez 8 dni, spać pod gołym niebem, i moknąć na deszczu. Szczęście, że był to miesiąc maj. Wszyscy wychodzili na kraj lasu i z góry patrzyli na granaty pękające we wsi. Z Chłopic armja niemiecka zabrała mnie z końmi i wozem na podwoję i woziłem granaty armatnie pod Przemyśl, który był zajęty przez Moskale, a obłożony i zdobywany przez Niemców.

Tak mijał miesiąc za miesiącem. 22 marca 1915 roku postyszałem ogromny huk. To wysadzono forty w Przemyślu. Przemyśl się poddał, ale to nie wpłynęło na ogólne położenie wojenne, bo w maju tegoż roku Austrjacy i Niemcy przełamali front rosyjski pod Gorlicami i znowu Moskale musieli ustąpić za San, a Tuczempy poraż trzeci znalazły się na linii bojowej przez 8 dni. Mieszkańcy Tuczemp uciekli do Morawska i Chłopic nawet bo w Morawsku też padały kule. Ja uciekłem do Chłopic z ojcem, matką i rodzeństwem. Tam Niemcy wzięli mnie na podwoję. Chcąc się wykręcić, dałem koniom owsa dość dużo, konie zachorowały, więc odjeżdżając zostawili mnie, a ja nocą wróciłem do domu, wóz rozebrałem, zakopałem w stodole i odtąd mieliśmy spokój.

Gdy linja bojowa przeszła za San, Austrjacy zarządzili pobór najmłodszego rocznika od lat 18. I mnie to nie minęło. **4 czerwca 1915 r. powołano mnie do służby wojskowej** przy jarosławskim 90 pp. Ponieważ tor kolejowy był zepsuty, piechotą maszerowałem do Rzeszowa, skąd później w bydłych wagonach, z których trzeba było gnój wyrzucać, pojechałem do kadry zapasowej przez Wiedeń -do Szombathely na Węgrzech.

### **Wojenka – wojenka – co żeś ty za pani...**

*W czerwcu 1915 roku oddział ludzi młodych, obwieszonych plecakami posuwał się w stronę Jarosławia, Przeworska, Łańcuta i Rzeszowa. W drodze do Rzeszowa, nocowaliśmy w Sosinie pod Łańcutem. Ja miałem kwaterę u **Katarzyny Borcz**. Miała ona wówczas maleńkie dziecko, które płacząc nie dawało mi spać (po latach spotkałem się z tem dzieciakiem – była to już panna w VI klasie gimnazjum w Borysławiu, którą uczyłem religji). Były to ”rekruckie ucha”, które maszerowały do Rzeszowa, aby tam zajmą miejsca w salonkach przeznaczonych dla przewozu bydła zostały przewiezione do kadry 90 p.p. stacjonowanej wówczas na Węgrzech. Po dwóch dniach i dwóch nocach skończyła się ta miła pielgrzymka, a uczestnicy złożąwszy do magazynu wedle słownika frajtra „cywilne lachy”, otrzymali „umundurowanie”. Jeden drugiego nie mógł poznać w tym cudownym mundurze jaki „cywilbandzie” przypadł w udziale. Nikt się jednak nie przejmował brakiem elegancji w mundurze, lecz pokpiwali ze siebie nawzajem, mówiąc: **”Niech się cesarz za nas wstydzi.”** Zaczęła się przykra służba wojskowa. 1 sierpnia przyjechałem do domu na 14 dniowy urlop. Po powrocie, po kilkunastu dniach musiałem opuścić swych towarzyszy, albowiem przydzielono mnie do szkoły podoficerskiej w miasteczku Banzin na Węgrzech, nie większym od Radymna, gdzie spotkałem się ze swymi kolegami z różnych klas gimnazjalnych. Mieszkałem w sali szkolnej, w której łózek nie było, siennik leżał na ławkach szkolnych. Mieszkał ze mną z Jarosławia **Michał Sztaba**, który spał na sienniku na podłodze, a drugim się nakrywał. W nocy często robił polowanie na myszy. Okolica była piękna, pełno winnic i często zajadałem winne grona. Pozostawałem na żołdzie, z domu pieniędzy nie otrzymywałem. Oficerowie byli bardzo*

dobrzy. Na bojową strzelnicę chodziliśmy do Marienthal. Po pięć - tygodniowym kursie zostałem kapralem. Zaczęłem wtedy 19 rok życia, gdy po raz pierwszy przypasałem szablę do boku. *Złe jednak wspominam pobyt w szkole podoficerskiej, a to z powodu chamskiego zachowania się podoficerów.*

*Codziennie rano plutonowy, komendant sali budził „jednorocznych ochotników” (co za łajdacka nazwa. Taki „jednoroczny” służył kilka lat a za brak ochoty często siedział w pace!) pioronującymi krzykami: „Panowie inteligenty, sędziowie, doktorzy, wstawać psiakrew, a jak nie chcecie, to ja wam pomogę”.*

*W czasie obiadu nie było wolno siadać przy stole, bo plutonowy zawyrokował, że „jednoroczna banda nie umie jeść, więc stół zaświni”. Stąd więc studenci i ludzie na stanowiskach jedli obiad stojąc, lub siedząc na kuferkach, a plutonowy siedząc przy stole wyciągał palcami mięso z menażki i spoglądał na nas jak żbik. Znosili wszyscy cierpliwie swój los wedle panującej w wojsku zasady „Maul halten und weiterdienen.”*

Wróciłem do Szombathely w październiku i objąłem dowództwo plutonu. Mieszkałem w magazynie z kolegami; spaliśmy na siennikach na komiennej posadzce; zimno było bardzo. 25 października pojechałem na bezpłatny urlop do domu. W czasie urlopu zostałem plutonowym. Odtąd zamieszkałem w mieście, prywatnie i zacząłem spać na łóżku, jeść w restauracji i popijać gorące wino z korzeniami, które mi dodawało wigoru do życia i humoru. Tak doczekałem świąt Bożego Narodzenia 1915 r. Smutne to były święta. Na obcej ziemi, z dala od rodziny, a przytem o głodzie i chłodzie. W kompanijnym baraku urządzono choinkę. Przemawiał porucznik Czech, a gdy wspominał o domach rodzinnych łzy jemu i wszystkim popłynęły po twarzy. Madjarka, u której mieszkaliśmy z kolegą **Kostkiem** z Jarosławia zaprosiła nas na wigilję. Myśleliśmy, że podjemy setnie, ale spotkał nas przykry zawód, bo tam nie podają tyle potraw co w Polsce, lecz tylko herbatę i ciastka. O głodzie poszliśmy na pasterkę do katedry.

Moi koledzy z Tuczemp, już dawno poszli na front, ja zostałem tu dłużej w kadrze, kończyłem szkoły wojskowe, zdawałem egzamin w kawaleryjskiej szkole kadeckiej w Modlingh pod Wiedniem, aby mieć prawo awansu na oficera. Egzamin był w języku niemieckim i był równoznaczny z maturą. Zdałem z postępek dobrym. Tylko dziwił się przewodniczący, że ja bez tego egzaminu, już przedtem zostałem plutonowym i ukończyłem szkołę oficerską. To też wpłynęło na dobry wynik egzaminu.

**tu zdjęcie podoficera JS w mundurze wyjściowym**

### ***W przejeździe na front.***

Zbliżał się czas odejścia w pole. 13 stycznia zostałem mianowany kadetaspirantem. Prawie cały kołnierz miałem od dystynkcji galowej. Piękna to była szarża, każdy student marzył o niej, no i pieniędzy przy tem przybywało. Dnia 14 stycznia 1916 roku wyruszyłem z bataljonem na front wschodni. Złożyliśmy przysięgę a potem przy dźwiękach orkiestry, ruszył baon na stację żegnany przez Madjarki i Madjarów. Nad oddziałami składającymi się z Polaków, powiewały sztandary z M.B. Częstochowską.

*Jechaliśmy przez Budapeszt – Humonnę – Chyżów – Przemyśl – Lwów – Rawę – do Włodzimierza Wołyńskiego. Obok Rawy pociąg zatrzymał się dłużej. Ludność ze wsi wyszła, czy nie jedzie kto z ich synów, czy ojców. I oto zobaczyłem, jak ojciec staruszek, w zgrzebnej koszuli i matka, spotkawszy syna-żołnierza, płacząc żegnali się z nim, bo kto wie czy go więcej zobaczą; a mały 8 letni braciszek, który pewnie w domu słyszał, że w wojsku chleba nieraz brakuje, opasany sznurkiem, po długiej, lnianej koszuli, wyciągnął z zapazuchy kawał chleba i podał go bratu. Gdy to zobaczyłem, łzy popłynęły obficie i musiałem się powstrzymać siłą woli, aby nie ryknąć płaczem.*

*Po miesiącu kompanje odeszły na front do 90 p. p., a ja z jedną zostałem jeszcze we Włodzimierzu, z którą w niedługim czasie wyjechałem do Maniewicz i Huty Lisowskiej, a tam nas przydzielili do 18 p. obrony krajowej. Tak utraciłem kontakt z 90 p. p. i kolegami. We Włodzimierzu będąc, spotkałem z Tuczemp wachmistrza **Pankiewicza**, z którym popiliśmy setnie. Mieszkałem*

wtedy w domu żydowskim, którą to kwaterę zdobyłem przemocą.

### **Miejsce postoju Nr 167**

Po pięciodniowej podróży, zatrzymał się transport we **Włodzimierzu Wołyńskim**, które to miasto nosiło ze względów strategicznych nazwę: "Etappenpost Nr 167." Po wydaniu obiadu wyruszały kompanie 90.p.p. na kwatery do oddalonej o 4 km wioski **Poniczewa**. Wioska robiła bardzo przygnębiające wrażenie. U wejścia do wsi stał stary krzyż, a obok niego nędzna ziemianka, w której mieszkała stara babina. Domy zniszczone, okna częścią zabite deskami, częścią założone słomą. W całej wiosce zamieszkiwało zaledwie kilka rodzin.

Nazajutrz wczesnym rankiem stał pod oknem domu, w którym mieszkał kadet-aspirant-trębacz kompanijny, chłopak młody z okolic Przeworska i wygrywał pobudkę. Tak powtarzało się przez miesiąc. Przez miesiąc żołnierze odbywali ćwiczenia, zaprawiając się do trudów wojennych, a po miesiącu wyruszone bliżej frontu w stronę **Łucka**. Po trasie zatrzymano się w **Mikołajpolu**, gdzie chłopcy wyszukali „panu kadetowi” wspaniałą kwaterę, a gościnną Niemka przykryła go pierzyną tak potężną iż z trudnością mógł tylko cząstkę sufitu zobaczyć ponad sobą. Niestety to miękkie życie, które nie przystoi żołnierzowi nie trwało długo, bo po trzech dniach bataljon ruszył w stronę **Kowla i Maniewicz**.

### **W okopach.**

Dzień 15 lutego 1916 roku miał się ku zachodowi. Ciemność zaczęła ogarniać ziemię, gdy na kraju lasu stanęła kompania wojska, a żołnierze nie wychylając się zeń wpatrywali się w pobliskie, **nad Styrem** się ciągnące okopy, które mieli zająć z nastaniem nocy. Gdy dowódca osądził, że ciemności pozwalają na swobodę ruchów wobec nieprzyjaciela, ruszono małymi oddziałkami do okopów. Po zaznajomieniu się z sytuacją, po wystawieniu straży, w jednej z ziemianek zebrano się czterech „jednorocznych” aspirantów oficerskich. Pierwszy raz znaleźli się w ziemiance, w obliczu nieprzyjaciela. Oglądali tedy z ciekawością dzieło swych poprzedników. Mieszkanie było wygrzebane w piasku. Ściany, które się co chwila usuwały, pokryte były celtami. Kilka gałęzi pokrytych papą i piaskiem stanowiły dach. Całe umeblowanie składało się z beczki, na pół przetrzyniętej, której jedna część służyła za stół, a druga raz za fotel, raz za miednicę. Zależnie od swego położenia. Okno było zrobione z flaszek połączonych mchem, a puszką z konserwy napełnioną naftą, z knotem z koca, służyła wiernie jako lampa.

Dniem obserwowano nieprzyjaciela, oglądano okolicę, nocą cała czwórka z sierżantem szefem z okolic Przeworska grała w karty. Nad ranem wszyscy kładli się spać i wstawali wieczorem.

Artyleria nieprzyjacielska regularnie, co trzeci dzień wyrzucała kilka pocisków, ale nieszkodliwie. Tak upływał czas w walce pozycyjnej, a żołnierze chwalili, że lepiej jest w okopach niż poza frontem. Gdzie jedzenie gorsze i nieznośne ćwiczenia. Położywszy się rano spać, a wstając wieczorem, mówił do mnie sierżant **Ćwikiel (od Przeworska):** "Co to stryku, czy dzisiaj nie było dnia. Trzebaby coś popić". Szliśmy w tył, do lasu gdzie stała kuchnia, aby coś zjeść i popić. Potem wymyśliłem nowy sposób świecenia: flaszka przecięta sznurkiem, napełniona smalcem, świeciła jak lampka w kościele. Przy tym świetle można było czytać. Zima była, ale piec grzał dobrze, samowary huczały, kurzyłem fajkę i nic mi nie brakowało do szczęścia.

Po jakimś czasie objąłem ad Styrem odcinek na zachód od Czartoryska, bardzo spokojny, z piękną ziemianką, którą nazwałem Willa Maryśka. Była zbudowana z desek, z podłogą, miała piec, okno z firankami, łoża wymoszczone mchem, ściany obite płótnem z prześcieradeł. Czuję się świetnie. Czasem 2-3 dni z niej nie wychodziłem, siedząc w pantoflach w fajkę w zębach, z książką w rękę; często czytałem Tomasza z Kempis, o naśladowaniu Chrystusa, która to książka towarzyszyła mi przez całą wojnę. Do okopów wroga było ponad 1 km. Obserwowałem je przez okienko. W okopach było czysto. Każdy żołnierz miał wyznaczone stanowisko, tabliczkę z

nazwiskiem, numer karabinu; służba była jak w koszarach, zamiatało się nawet okopy. Nic dziwnego, była to walka pozycyjna w zimie. Każdy z doświadczenia wiedział gdzie pociski rosyjskie raz na trzy dni padać będą. Najmilej wspominam ten czas bo można się było wyspać, nie było wsty, było czysto, jedzenia nie brakowało.

Jednostajność życia przerwałem, gdyż powołano mnie na kurs do wsi **Rudki**, gdzie zbudowano wielki budynek drewniany, kilkadziesiąt łóżek, pokrytych wiórami drzewnymi stanowiły legowiska. W środku stał ogromny stół plastyczny z piaskiem. Komendantem szkoły był sympatyczny **kpt. Mazurka**, który specjalny sentyment czuł do mnie, „dzielnego Polaka”. Czas był piękny, wiosna, 19 marzec, gdy z ordynansem szedłem z okopów do szkoły. Skowronki śpiewały, cała wiosna powstawała do życia. Specjalny zapach lasów unosił się w powietrzu. Często chodziliśmy na Polską Górę, sławną z walk legjonowych gdzie przeprowadzaliśmy ćwiczenia aplikacyjne.

Po kursie wróciłem do okopów, gdzie tymczasem wybudowano łaźnię, wykopano studnię, postawiono ławki ogrodowe. Maj się zbliżał. Często siedziałem na ławce w okopach i słuchałem śpiewów żołnierzy rosyjskich. Żaden strzał nie mącił ciszy nocnej. Nic jednak nie ma stałego pod słońcem. Kazano nam opuścić okopy i iść na odpoczynek i przeszkolenie do rezerwy. Z radością opuszczałem okopy - pragnąłem nowości.

### **Tu zdjęcie zbiorowe „Ofensywa Brusilowa 1916 Wołyń**

Po 3 dniach marszu stanęliśmy we wsi **Gorodok**, gdzie spędziliśmy wielkanocne święta, ale nie po Bożemu, bo w wielką niedzielę odbywał się przegląd przez Ministra Obrony Krajowej. Też drań wybrał sobie czas. Mieszkalem w chłopskiej komorze, czystej, z podłogą. Po 2 tygodniach przeszliśmy do **Godomicz nad Styrem**. Zamieszkałem u staruszków **Girgielewiczów**, w ubogiej chatce, gdzie był tylko jeden garnek gliniany do gotowania, żadnego łóżka, tylko ława pod ścianą do spania. Starzy popili rumu z mej manierki i położywszy się spać, tym razem na piecu, podśpiewywali ku mej uciechu. Żołnierze ze starej stodoły zrobili karuzelę, na której i ja jeździłem.

Tam spotkałem kolegę z gimnazjum z **Przeworska-Zajchowskiego**. On był starszym żołnierzem, ja kadetem i dlatego czuł się wobec mnie nieśmiały, co mnie bardzo krępowało. Często wałem go winem i papierosami. Raz widziałem jak na 2 kołach wieziono ubogą trumnę, szły kobiety i małe dzieci, a nędza biła z ich twarzy. Smutny to był obraz. Życie płynęło bez troski. Rzeka dostarczała metrowych ryb, tysiące raków, wina nie brakowało.

### **Tu zdjęcie Słabego od Barcza**

Nagle, w niedzielę 3 czerwca 1916 r. jak piorun spadł na nas – **ofensywa Brusilowa**. Usłyszeliśmy huk armat, to Rosjanie otworzyli ogień huraganowy. **Alarm!** Marsz w stronę frontu. Na dobitkę deszcz lał jak z cebra. 20 godzin marszu bez odpoczynku. Słabsi nie dawali rady, wszyscy wlekli się aż do **Karpitówki**. Jechałem konno, odmawiając różaniec. Przed Karpitówką zobaczyłem cofającą się artylerię, płonące mosty i słychać było okrzyki rosyjan : „**Huria**”. W tem zobaczyłem jak generał skoczył z bryczki i uciekał w las. Zrozumiałem, że linja bojowa złamana, że wróg naciska, że trzeba się cofać. Zmęczenie pod wpływem wrażeń ustąpiło. Cofałem się noc i cały dzień do **Kiwerc** i tam rozbiłem namioty, lecz po godzinie odpoczynku, raniutko samoloty nieprzyjacielskie obrzuciły nas bombami. Widziałem jak lecąca bomba błyszczała w promieniach słońca i uderzyła w dom gontami kryty, a gonty leciały i uderzały w namioty, zaś żołnierze na oślep pędzili w las. Kuchnia wywróciła się do góry kołami, a konie pędziły jak oszalone. Już..”po śniadaniu” pomyślałem z goryczą, myśląc o próżnych żołądkach zmęczonych żołnierzy i zacząłem zwoływać mój pluton; 60 żołnierzy. Gdy się zebrali, kazałem ładować broń, nastawić bagnety i razem z innymi oddziałami, ruszyłem w las, na wschód od toru kolejowego stacji **Kiwerce**. Zbliżał się chrzest ogniowy. Kule zaczęły gwizdać najpierw wysoko potem coraz niżej, granaty padały gęsto. Nie traciłem zimnej krwi. Wzbudziłem żal za grzechy, poleciłem się Bogu. Padł rozkaz, powtarzany przez linję żołnierzy: okopać się. Powtórzyłem rozkaz. Żołnierze się okopali, ja stałem za drzewem. Zobaczyłem, że wróg się zbliża, kryjąc się za drzewami. **Strzelać !!!** krzyczałem. Zaczął się ogień, ale nie trwał długo, bo usłyszałem: „**Huria**”, na prawo i zobaczyłem, że linja



przełamana. Nakazałem odwrót, w stronę **Rożyszcza**. W Rożyszczach położyłem się na kupie śmieci, bo już nie mogłem ustać na nogach, ale nie długo rozkoszowałem się odpoczynkiem, bo przyszedł rozkaz że mam się okopać ½ kilometra od Rożyszcza na wschód od toru i bronić dostępu do mostu na Styrze. Było to 8 czerwca 1916 r.

Okopy na metr głębokie, wybrałem w koniczynie, do południa były gotowe. Dzień był bardzo upalny, aromat koniczyny działał usypiająco. Większość żołnierzy spała. Nie miałem sumienia aby ich budzić, sam czuwałem. Wieczorem około 5 godziny dojrzałem, że z lasu wysuwa się rosyjski karabin maszynowy i kryjąc się za domem, który stał przed okopami, zbliża się do nas. Kazałem dom podpalić. Gdy nowiuteńki dom, jeszcze nie zamieszkały ogarnęły płomienie, żal mi się zrobiło, że zniszczył owoc cudzej pracy, ale gdy rozkaz wydawałem, byłem przekonany, że nie ma innego wyjścia. Zaczął się bój straszny, zacięty, na prawo od toru przełamał wróg linję i zaczął zachodzić z boku. Wydałem rozkaz do cofania się na most. Tymczasem Rosjanie podjechali z pancernym karabinem i prażyli uciekających przez most. Widziałem jak obok mnie padają żołnierze do głębokiej rzeki. Włosy mi się zjeżyły ze strachu na głowie. Widziałem leżący na moście lont, aby go wysadzić. Ledwie dobiegłem do końca, gdy nerwowy kapitan Mazurka podpalił lont. Oglądnąłem się. Most był w powietrzu i wielu żołnierzy z nim. Zapadła noc; długo słychać było jęki błagających o pomoc. Gdy ciemności ogarnęły ziemię, dostałem rozkaz, aby z karabinem maszynowym iść przed własną linję i pilnować, aby nocą wróg nie przeprawił się przez Styr. Zaciągnąłem tę niebezpieczną placówkę. Nagle w nocy bez powodu Rosjanie zaczęli strzelać, na co z naszej linji odpowiedziano ogniem karabinów maszynowych, a kule wroga i nasze z tyłu padały na mą placówkę. Leżąc w dołku, nakryłem się snopem słomy, który idąc wieczorem kazałem wziąć dla wymoszczenia dołów. Słoma mnie ocaliła. Słyszałem tylko syk kul, które się zatrzymywały w słomie. Nad ranem wróciłem do okopów i położyłem się spać. Jeszcze nie zdołałem usnąć gdy otrzymałem rozkaz, aby się cofać w stronę młyna-wiatraka, a potem do **Peresby**. Pod ogniem zaporowym artylerji cofałem się, ale nie z wszystkimi żołnierzami bo się rozbiegli, z ordynansem, który później też gdzieś przepadł razem z manierkami z rumem. A na nich wiele mi zależało. Idąc przez pola, spotkałem kolegę **Potoczno** z Jarosławia. Wstąpiliśmy do jednej chałupy, popiliśmy mleka kwaśnego, mimo pękających granatów i płaczącej baby i poszliśmy dalej. Obok stacji kolejowej Peresba spotkałiśmy Niemców kopiących okopy. Widać, przyszedli nam na pomoc. Przeskoczyłem rów strzelecki, życząc żołnierzom niemieckim szczęścia i skierowałem się w stronę płonącej stacji, gdzie były magazyny żywnościowe i beczki z rumem. Tam odpocząłem i popiłem wina; przy beczkach spotkałem trochę moich żołnierzy. Nie było ich dużo. Z całego pułku 6 tysięcznego, zostało około 200, jak obliczyliśmy. Trochę zginęło, ale nie wielu. Większość w bezholowiu dostała się do niewoli. Złapałem zbląkanego konia, dosiadłem i maszerowaliśmy do **Polskiej Wólki**. Było to 16 czerwca 1916 r. Po obsadzeniu okopów, połowa oddziału miała iść na patrol. Dowódca wezwał mnie i kolegę **Michnę z Żurawicy** i rzekł: „Niebezpieczna to wyprawa. Można nie wrócić. Ciągnijcie losy”. Miał 2 zapalki i ukrył w dwu rękach, po jednej. Ja wyciągnąłem z główka, Michna bez główki i poszedł. Za godzinę przynieśli go na noszach, lekko rannego. Jakże żałowałem, że mnie to nie spotkało. Taka rana była warta bardzo dużo. Nieszczęsny zostałem na pozycji. W niedzielę 18 czerwca zaczęli Rosjanie strzelać granatami ekrazytowymi. Nie można było oddychać. Brakowało powietrza. Żelazo, piasek, ziemia, sypały się na głowy. Trupów pełno, ranni jęczą. Plutonowy Michna z Żurawicy, trzęsie się jak dziecko, a chłop był ogromny. Ja poleciałem się Bogu, zapaliłem fajkę i siedziałem, czekając co będzie dalej. Nic mi się nie stało. Bóg czuwał nademną.

21 czerwca austriacy po ogniu huraganowym przeszli do ataku. Rosjanie uciekali w popłochu. Gdy zacząłem ich ścigać, zobaczyłem pułkownika rosyjskiego, stojącego za drzewem i powiewającego białą chusteczką. Poddawał się. Niestety jakaś zbląkana kula ugodziła go śmiertelnie. Gdy doszedłem do niego, był trupem. Wokoło trawa była czerwona od krwi, omal nie przyprawiło mnie o omdlenie. Posłyszałem jęczącego rannego Moskala. Przytknąłem mu do ust moją manierkę z winem. Wtem zobaczyłem pędzących kozaków. Czym prędzej się ukryłem i udałem w bezpieczne miejsce. Po bitwie poszliśmy na odpoczynek. Po trzech tygodniach nareszcie mogłem się umyć, zmienić bieliznę, pozabijać co większe wszy, najeść się i odetchnąć. Zdjąłem też buty nie zdejmowane od 3 czerwca. Dobrze było w sosnowym

lasku na odpoczynku, ale 30 czerwca nagle napadli nas Moskale, wcale nieprzygotowanych. Zdebiłem. Zaczęłam wiać. Moskal krzyczy, abym stanął, bo strzeli;. Nie stanąłem, taki byłem lekkomyślny. Strzelił, ale trafił w sosnę, 10 cm od mej głowy. Skryłem się za krzaki. Potem wpadłem w jakieś jezioro. Woda była po pas. Gdy byłem na środku zobaczyłem, że kozacy z pikami jadą za mną, ale widać nie mieli ochoty ścigania mnie, zawrócili i tak ocalałem. Ale zablądziłem sam jeden,, nie wiedziałem w którą stronę się cofać. Busola mi przysłała z pomocą. Ustawiłem ją i postanowiłem iść na zachód. 1 lipca spotkałem mój oddział, 50 rozbitków. Zajęliśmy nową pozycję, broniąc drogi do **Ugty**. Bagnista to była łąka. Nie można było się okopać, tylko na wierzchu budowało się osłony. By nie leżeć w błocie cofnęliśmy się do lasu. Kuchnie się zagubiły, nie dowiozły jedzenia. Po zjedzeniu żelaznych porcji, 5 dni byliśmy bez jedzenia. Głód skręcał wnętrzności, gorączka paliła, traciłem przytomność, prosiłem Boga o śmierć. 6 lipca odwołano nas z okopów do **Pawurska**. Jakże się cieszyłem, gdy po odbyciu marszu 30 kilometrowego zobaczyłem dymiące kuchnie. Niestety sam zapach kawy mnie upoił i popadłem w sen kilkugodzinny. 8 lipca znowu byłem w walce pod Hulewiczami i to walce gazowej, od której po żółtej plamce na żrenicach do końca życia mi pozostało. Z końcem lipca obsadziłem okopy pod **Zarzeczem**. Słońce prażyło, wróg raził z karabinów maszynowych, wody nie było można dostać, pragnienie było ogromne, więc odrzuciłem na dnie okopów suchy piasek i z warstw dolnych ssałem wilgoć. Dwa dni żołnierze nie jedli, amunicji też nie dostarczano, a Rosjanie zarzucali nas 18 cm granatami ekrazytowymi, ziemia jęczała, miałem wrażenie, iż piekło się otwarło, aby nas pożreć. Miałem z okolic Mielca 2 żołnierzy – ojca 40 letniego i 19 letniego syna, nazwiskiem **Moskale**; obaj padli. Mało mi serce nie pękło, gdy po bitwie donosiłem żonie że padł mąż i syn.

W bitwie leśnej pod **Kiwerkami** padł kadet **Antoni Kamński** z okolic Jarosławia, dwaj inni dostali się do niewoli, sierżant dziadzio też gdzieś przepadł, tak że w okopach pod Zarzeczem siedziałem ja i czterech jednoroczników, którzy po rozwiązaniu frontu wschodniego zostali przydzieleni do mojego oddziału. Mówię: chłopcy, w razie ataku wy zostaniecie w okopach, bo pozycja jest nie do zdobycia, szkoda waszego życia. Oponowali, ale kazałem im milczeć i słuchać rozkazu. Nieprzyjaciel był oddalony o 300 kroków. Austriacy otworzyli ogień huraganowy, a dym z granatów ekrazytowych tak zappełnił powietrze, że żołnierze dusili się, nie mając czym oddychać.

30 lipca kazano mi atakować. Nie usłuchałem, bo widziałem, że pozycja nie do zdobycia. Nie chciałem brać odpowiedzialności za śmierć ludzi. Dostałem rozkaz na piśmie. O godzinie 10.30 zaatakowałem. Straciłem 20 zabitych i 17 rannych. Powtórzyłem atak jeszcze raz; dostałem się w ogień krzyżowy – mózg sąsiedniego żołnierza trafionego w głowę obryzgał mi płaszcz. Zaatakowałem raz trzeci i zobaczyłem, że plecaki na żołnierzach się palą, bo strzelano zapalającymi kulami. Trzeba się było cofać, cofnąłem się do okopów i bronilem zaciekle przeciw atakującym. Wróg ustępował. Trzeba było strzelać, ale między linjami leżeli ranni żołnierze, którzy chustkami prosili o zaprzestanie ognia. Jeszcze tego dnia szedłem dwa razy do ataku. Osiwieć było można i stracić rozum. Boże daj mi zginąć – modliłem się. Wtem zostałem ranny w nogę. Oddałem dowództwo kapralowi, a sam wróciłem do okopów. Patrząc na pobojuwisko, płakałem jak dziecko. Cesarze wojnę wydali a dzieci i ojcowie rodzin walczyli. O hańbo o wstydzie XX wieku !!

Z pomocą Polemika, ordynansa, oddalałem się z linii bojowej, ale jeszcze dopędził mnie granat i pękając szczerupą zranił mnie w nogę drugi raz. Znalazłem bandaże na opuszczonym placu opatrunkowym, obwiązałem rany i wlokłem się lasami. Spotkałem dwu Niemców, którzy ponieśli mnie kilka kilometrów, aż do drogi, gdzie siadłem na podwodę, którą zatrzymałem grożąc rewolwerem. Droga leśna była z okrąglaków. Każde poruszenie woza wyciskało lzy z oczu. Dostałem się na plac opatrunkowy. Po opatrunku przy świeczce złożono mnie w stodole. Gdzie to było, nie wiem. Pamiętam, że rano przyszły tam kobiety ze wsi, przyniosły mi mleka i bardzo nade mną płakały. Musiałem marnie wyglądać.

Tegoż dnia po południu odwieziono mnie do pociągu sanitarnego. Czulem się jak w raju, gdy mnie złożono na kanapie I klasy. Sanitarjuszka przyniosła wino i cygary. Rana nie była ciężka. Tylko wszy mnie gryzły. Pociąg ruszył do **Chelma**. W Chelmie, na podwórzu Szkoły Maryjskiej złożono mnie na noszach.

Rozglądałem się, co to za szpital, ale nie wiele widziałem, bo oczy nie myte przez dwa tygodnie

mało co widziały. W tem przystąpiła do mnie sanitariuszka z zapytaniem : „jak się masz?” Spojrzałem zdziwiony na nią. Ona tem bardziej się zdziwiła, że jej nie poznaję. Była to **Stacha Dwornikówna**, moja koleżanka szkolna i sąsiadka, którą zawsze lubilem. Kazała mnie wnieść do wanny, mundur krwią zbroczony dała do odwszalni. Za chwilę leżałem w czystym łóżku i czułem się bardzo szczęśliwy. Już mnie wszy nie gryzły, dostałem czystą bieliznę.

Po dwu dniach odesłano mnie pociągiem sanitarnym do **Czech do Pardubitz**, gdzie był specjalny szpital, na 10 tysięcy łózek. Lekarka, amerykanka opatrzyła mi ranę, Niemka **Berta Bellingen** pielęgnowała mnie bardzo dobrze, a lekarz Polak, był bardzo sympatyczny. Ponieważ baraki szpitalne były kryte blachą, wydawały szelest za lada podmuchem. Ponieważ bandaże się odkleiły i rana się otworzyła, zaniecono mnie na stół operacyjny. Po zmianie opatrunku zaniecono mnie na salę, gdzie już było 8 rannych. Leżenie w szpitalu, wśród obcych, bardzo mi dokuczało. Postanowiłem się przenieść gdzie indziej.

Przypomniałem sobie, że jako mały chłopiec, poznałem we Lwowie brata babki pana **Moraka**, który był naczelnikiem stacji w **Kolinie**. Do niego napisałem, aby mi się postarał o miejsce w szpitalu. Dostałem telegram, że miejsce wolne, tem bardziej, że lekarze tamtejsi wzięli mnie za Czecha. Słabi, to czeskie meno, mówili. 11 sierpnia 1916 r. wyjechałem do Kolina. Autem ; wśród awacji Czeszek i Czechów ze stacji zawieziono mnie do szkoły, gdzie się mieścił szpital. Przecudowne tam było życie, odpoczynek po trudach, miłe towarzystwo Czeszek, które twierdziły, że mają rade Polaków. Czasem bywałem u Moraków, w ich pięknym ogrodzie i kamienicy.

Mile wspominam **Emuszkę Czernohlawkównę**, córkę profesora, która chciała koniecznie wyjść za mąż za mnie, oraz blondynkę sanitariuszkę **Anuszkę Mestianek**, która mi wiele chwil poświęciła, na ustroniach wyspy na Łabie. 5 września opuściłem Kolin, a wyjechałem do źródła o światowej sławie, do **Piszczan, Postylen-Bad**. Zamieszkałem w hotelu ” pod zielonym dębem ”. Okolica przecudowna, nad **rzeką Wagiem**. Poza rzeką góry, na których lśniły w blasku słońca rycerskie średniowieczne zamki. W restauracji zakładu stołowało się ponad 600 osób. W parku 3 orkiestry grały nieustannie. Z biblioteki polskiej pożyczałem książki i tak spędzałem czas na obczyźnie, dopóki nie poznałem w piwiarni Metropol, pani **Minny Kniżek**, wesolej wdówki. A do poznania doszło tak: Pewnego popołudnia siedziałem nad rzeką i spostrzegłem, że ucieka ogromny pies, buldog, a jakaś pani stara się go dopędzić. Schwyciłem psa i oddałem właścicielce. Nie przedstawiłem się jej, bo wyglądała na damę z wielkiego świata z brylantami, a ja miałem na sobie żołnierską czapkę i zniszczony, krwią poplamiony mundur, który po odwszeniu w parze, fatalnie wyglądał. Błyszczały tylko złoto – srebrne dystynkcje, które naszyłem w szpitalu w Kolinie, gdyż tam dostałem awans. Zasalutowałem i odszedłem. Wieczorem spotkałem ją w towarzystwie burmistrza Piszczan w Metropolu. Tam dyskretnie wręczyła mi karteczkę, gdzie się nazajutrz mamy spotkać. Nazajutrz wyjechaliśmy do winiarni poza źródło, a za kilka dni byłem w jej posiadłościach w **Maria-Enzensdorf pod Wiedniem** ; ale już ubrany w mundur galowy, który kupiłem we Wiedniu. Miło czas tam spędzałem. Chciała bym się z nią ożenić, a ona postara się, abym był przeniesiony do artylerji i studjował leśnictwo w akademji wiedeńskiej. Gdy to nie doszło do skutku, chciała mi dać swą wilgę w Piszczanach, ale się na to nie zgodziłem.

11 listopada opuściłem źródło na własną prośbę i wyjechałem do Szombathely na Węgrzech , gdzie była kadra jarosławskiego, 90 p.piechoty. Zamieszkałem w hotelu Kovacs(Kowacz). Ponieważ daleko było do koszar przeniosłem się na Ernst-Kelement-utea 5. do domu pani Radanyi-Lajosne, młodej wdówki. Miła to była Anuszką i bardzo się do mnie przywiązała, a pilnowała mnie, abym się nie włóczył po knajpach, lecz tylko z nią czas spędzał. Prowadziłem żywot człowieka poczciwego. 1 stycznia zostałem oficerem, podporucznikiem. Dostałem wielki srebrny medal za waleczność. Cały wolny od służby czas spędzałem z Anuszką, z czego jej rodzice bardzo się cieszyli, bo zajęta mną, nie rozpaczala po śmierci męża i dziecka. Niestety, twarda jest dola żołnierza. Musiałem opuścić to gniazdko zaciszne i iść na losy nieznane, na front, tam gdzie kule świszczą i bagnety błyszczą.

„ **Z ziemi mych ojców przez wroga wygnany,  
Deptać musiałem obcych ludzi lany.**”(Kraśiński)

Było 23 marca 1917 r. O godzinie 6 wieczorem miał wyruszyć transport w pole. Z tego powodu

już o godzinie 11 zaczęły zbierać się kompanje na podwórzu koszar. Maszerowała kompanja pierwsza. Starzy i młodzi uginali się pod ciężarem plecaków wypełnionych nabojami, porcjami żelaznymi, bielizną itd. Na czapkach powiewały dębowe gałązki. Za chwilę pokazała się kompanja druga. Chłopi szli ciężko, lecz sprężystym krokiem. U czapek było widać polskie kokardki, a nad szeregami powiewała chorągiew M.B. Częstochowskiej. Trzecia kompanja pozostała w koszarach aby wkrótce odejść na włoski front; po drugiej wylonila się czwarta, moja kompanja. Składała się z chłopów rosnących jak dęby z okolic Jarosławia, Przeworska, Łańcuta, Lubaczowa i Radymna. Po ustawieniu w porządku wszystkich pododdziałów, ks. kapelan odbierał przysięgę. 27 lutego 1917 r. transport przy dźwiękach orkiestry ruszył w nieznaną. Bałem się, aby tylko nie na włoski front. Nocą 5 marca przybyliśmy do Włodzimierza Wołyńskiego, przez Budapeszt-Lwów. Mróz 20 stopni, kazamaty nie opalone, zniechęcenie mnie ogarnęło i mimo szlifów oficerskich, łzy się kręciły w oczach. Przez 5 miesięcy byłem w sztabie jako instruktor w rzucaniu granatów ręcznych i dopasowywaniu masek gazowych dla żołnierzy 4 armji. Codziennie dostawałem listy od Minny i Auczi: Etapenpost 167, taki był mój adres. Tam też w Poniczewie, w lasku, gdzie stała opuszczona stara prawosławna cerkiew poznałem powstańca i jego córkę Helenę, z którą nie jeden wieczór księżycowy spędziłem. Za to pożegnanie było przykre, nie obeszło się bez łez z jej strony, a i ja też długo nie mogłem znaleźć spokoju. Przez 4 miesiące i pies się przywiąże do człowieka, a ja ją po raz drugi w mej wędrówce bojowej spotkałem. 15 sierpnia wyjechałem pod **Tarnopol**, do okopów. Jakiś czas mieszkałem w **Kokutkowcach obok Cembrowa** i stamtąd dostałem 4 tygodniowy urlop, kilkanaście dni spędziłem w domu a resztę na Węgrzech i w Piszczanach. 15 października 1917 r. znowu znalazłem się w okopach pod **Czernichowem nad Seretem**. Kilka dni temu wylegiwałem się w wygodnych łóżkach, a teraz siedziałem w piwnicy spalonego sklepu kółka rolniczego, a myszy i szczury uganiały po tej budzie. Dobrze, że na czas z niej wylazłem, bo na drugi dzień granat ją rozbił. 17 grudnia poszedłem do okopów pod **Nosowcami i Horodyszczem**, nad stawem **Wertelki**. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Było wtedy zawieszenie broni, ale głód był wielki. Zmarzłe ziemniaki i chleb z trocin stanowiły jedzenie świąteczne.

### **Auczi.**

Późną jesienią pociąg zatrzymał się na stacji jednego z wielkich miast południowych Węgier. Z wagonu sypialnego wysiadł porucznik i skierował się do kwatermistrzostwa, celem przydzielenia mu kwatery. Ponieważ nie chciał mieszkać w hotelu, przydzielono mu mieszkanie w prywatnym domu. Obejrawszy zaciszny pokoik, dowiedział się, iż za sąsiadów będzie miał solidne starsze małżeństwo, mające dwie córki, z których jedna 19 letnia Irma jest urzędniczką, druga Anuszką 25 letnia, jest wdową od 2 lat. Ponieważ Irma ciągle przebywała w biurze, matka zajmowała się gospodarstwem, a ojciec pisał wiersze, dla towarzystwa dla lokatora pozostawała młoda wdówka. Chociaż słabo mówiła po niemiecku, a oficer zaledwie kilka słów umiał po węgiersku, łatwo się porozumiewali i razem spędzali wolny czas już to na ślizgawce, już to w kawiarni a najczęściej w zacisznym pokoiku do którego Anuczi nigdy nie dopuszczała ordynansa, lecz sama była tam gospodynią. Gdy oficer miał służbę w koszarach, były to najcięższe dla niej godziny. Wtedy krążyła pod oknem oficera inspekcyjnego, aby choć ujrzeć swego diabelka, jak zwała porucznika, Na każdą paradę Anuszką prasowała mundur, czyściła gwiazdki, szablę a potem wychodziła na ulicę aby popatrzeć na maszerujące przy dźwiękach muzyki kolumny wojska, przeznaczonego na kanonen futter. Niestety nie ma nic stałego pod słońcem. Przyszedł rozkaz odmarszu w pole. Oficer paradny mundur zostawił Anuszcze na pamiątkę, a sam ubrany jak szaraczek wyruszył na pole walki. Anuczi mdlała, porucznikowi rozdzierało się serce i przyrzekał sobie nigdy z kobietami nie zawierać znajomości, aby uniknąć tak nerwy szarpiących scen. Poczta polowa była zasypywana stertami listów i pakunków od Anuczi i Minny.

Po półrocznym pobycie na froncie pędził porucznik tysiące kilometrów z Polesia przez Polskę i Austrię, aby spotkać się z Anuszką. W luksusowym hotelu urządzonym w stylu francuskim w stylu Ludwika XV znowu spędzali dni, podczas gdy na froncie wrzała walka. Takie to już jest życie. Po wojnie Anuczi wyszła za mąż i przerwała korespondencję. I dziś pewnie, tak jak ongiś za czasów

porucznika nosi kwiaty na grób pierwszego męża, który zginął zatruty strzałą Auczy.

### ***Noc piękna jest, szkoda jej zmarnować.***

Słońce miało się ku zachodowi, gdy młody oficer z medalem waleczności na piersiach, pogwizdując i wywijając szpicrutą, zbliżał się do pięknego drewnianego domku położonego na kraju lasu. Za kilka minut witał się z piękną młodziutką Helenką mieszkanką tej wołyńskiej ustroni. Dziewczyna stawiając na czysto zastawionym stole chleb, masło, kwaśne mleko, gościła żołnierzyka, czem chata bogata.

Tymczasem ciemność zaczęła zapadać, a podnosząca się mgła zaczęła obejmować cały las. Oni siedzieli na ławce pod oknem i rozmawiali półgłosem, jak gdyby się bali zmącić leśną ciszę. Księżyc zaczął się wylaniać spoza chmur i okazał całą swą bladą tarczą. Północ się zbliżała, trzeba się było rozstać, więc oficer wstał i ucałował dziewczynę, wracał do koszar, odmawiając pacierze wieczorne, których nigdy nie opuszczał.

Porucznik w dzień zajęty był jako instruktor przy rzucaniu granatów ręcznych oraz jako instruktor gazowy przy formacjach marszowych **IV Armji**, a wieczory spędzał na rozmowie z Helenką, która wróciwszy z Ameryki, też miała wiele do opowiadania. Tak upływały najpiękniejsze miesiące letnie 1917 roku. Wszystko jednak musi mieć koniec, więc i ta sielanka się skończyła.

W sierpniową noc, zęgnął porucznik ruszałkę leśną, z którą tak niewinnie, a bardzo mile, tyle nocy spędził wśród ciszy leśnej, wśród aromatu ziół i woni żywicy. Ona zawisła na jego szyji, a on zcałowywał jej łzy, nie śmiąc ani słowa powiedzieć, widząc jak przez ten czas przywiązała się do niego i jak z trudnością przyszło jej rozstać się z nim.

Za chwilę słyhać było tłumiony płacz dziewczęcia i szybkie kroki oddalającego się oficera, spieszącego do swego oddziału, wyruszającego do linii bojowej. 15 sierpnia 1917 roku wyjechałem pod Tarnopol, do okopów.

### ***Nad Seretem.***

Nocą, pod **Iwaczowym** górnym wytyczałem linię obronną i rozstawiałem szeregowców i podoficerów, którzy natychmiast jak krety, wgryzali się w ziemię. Kule karabinowe bzykały niczem bąki, ale ani dowódca, ani żołnierze nie zważali na nie przejęci wyznaczoną im pracą. Tylko reflektor nieprzyjacielski przeszkadzał im w pracy. To też od czasu do czasu rzucali się na ziemię, a wówczas szumiał nad nimi rój kul, wyrzucanych przez maszynowy karabin rosyjski. Nad ranem, okopy głębokie na 2 m. były gotowe, a pracownicy wracali do **Kokutkowic** na odpoczynek.

W okopach pod **Nosowcami** i **Horodyszczem** doczekali się żołnierze jarosławskiego pułku świąt Bożego Narodzenia. Smutne to były święta. Zmarznięte ziemniaki, chleb z trocin, czarna kawa z żołędzi, oto pożywienie „obrońców ojczyzny”. To też, gdy kapral **Kondracki** przyjechał z fasunkiem, nie chciałem wychodzić z szalasu i pokazywać się żołnierzom. Wobec tak krytycznego stanu wyżywienia władze rozkazały, aby rozesłać oddziały rekwizycyjne, celem zdobycia prowiantów. Na czele takiego oddziału udałem się do **Glejowa**. Jadąc tak myślałem sobie: „Djabła zjecie, już ja wam poślę prowianty”.

Na miejscu przeznaczenia, zakwaterowawszy się, wysłałem trzech podwładnych sobie oficerów, aby dokonali spisu prowiantów, będących w posiadaniu ludności. Oficerowie składali raporty, a ja się tylko uśmiechałem. Miesiąc tak przesiedziałem, nic nie zarekwirowałem, a na koniec złożyłem meldunek iż na wyżywienie ludności i obsianie roli, należy przysłać kilka wagonów zboża i ziemniaków. Po takim załatwieniu sprawy, otrzymałem rozkaz powrotu do **Podwołoczysk**, skąd po zawieszeniu broni, miał pułk udać się do **Odessy**.

### ***Gdzie się czajki”kapią w pianach”***

Dnia 15 marca 1918 roku dwa bataljony 90p. p. po opuszczeniu wagonów złożyły na ulicach

*Odessa broń w kozły. Od morza ciągnął zimny wiatr. Miasto było pogrążone we śnie, gdyż było to wczesnym rankiem. Żołnierze rozpalili ogniska, albowiem zimno bardzo dokuczalo żołnierzom lichu ubranym i kilkudniową podróżą zmęczonym wojownikom.*

*Porucznik wtuliwszy głowę w puszysty kołnierz ulanki, usiadł przy ognisku na do góry dnem obróconym wiaderku i palił fajeczkę na krótkim cybuchu. Czasy się zmieniają - mówił do podoficerów: " Jesteśmy w Odessie, obyśmy nie skończyli jak Napoleon, a stąd do domu daleko." Po godzinnym odpoczynku oddział mój otrzymał rozkaz odmarszu do kolonii niemieckiej Grossliebenthal. Ludność niemiecka z entuzjazmem witała oddziały okupacyjne, znosząc masowo biały chleb, kielbasy, szynkę słoninę, wino i inne prowianty. Jednemu się tylko dziwiła, a mianowicie temu, że żołnierze nie umieli po niemiecku. Po dwu dniach, porucznik rozglądając się po okolicy dosiadł specjalnie wyznaczonego konia kozackiego i wyruszył w dniu 19 marca w stepy akermańskie.*

*22 marca 250 żołnierzy na powozach i wozach jechało z powrotem do Odessy, gdzie spędzili kilka miesięcy, rozmieszczeni w parku lotniczym. Najprzyjemniej było w maju i czerwcu. Cała dzielnica zwana " Bolszoj-Fontan ", tonęła w powodzi bżów, jaśminów i wszelkiego rodzaju zieleni i kwiecica. Żołnierze umieściwszy między konarami odwiecznej lipy obraz N.M.P. Częstochowskiej, odprawiali wieczorne nabożeństwa, śpiewali litanję a „Pod twoją obronę” ta przepiękna antyfona rozlegała się po morskiem wybrzeżu. Porucznik bardzo często przyjeżdżał konno nad brzeg morski obok „Arkadji”, puszczał okochanego wierzchowca na paszę, a sam kąpał się, wygrzewał na piasku, lub usiadłszy na brzegu słuchał szumu fal, które rozpryskiwały się u jego stóp, albo obserwował siadające na falach mewy; obserwowałem okręty płynące do Turcji, łowiłem ryby. W niedzielę słuchali Polacy mszy św. w polskim kościółku, a wieczorami chodzili do polskiego teatru. Brzeg morski zabudowany wspaniałymi willami, ślicznie urządzonymi, a opuszczonymi przez właścicieli, którzy uciekli przed bolszewikami. Odessa miasto o ogromnych szerokich i na kilometry długich ulicach zrobiła na mnie wielkie wrażenie. W dzień mało ludzi było na ulicach, gdyż gorąco trzymało ich w domu, za to w nocy roili się jak pszczoły w ulu. Ludność była dla nas bardzo życzliwa i chwaliła dobre wychowanie żołnierzy i oficerów. Ze smutkiem opuszczałem Odessę, udając się z końcem czerwca do jednego z ośrodków robotniczych nad **Ingulcem**.*

*Wymaszerowaliśmy do **Kriwoj-Rog**. Wnet przyzwyczaiłem się do nowej placówki, zwłaszcza gdy poznałem czarujące Rosjanki , Wierę, Frosię, Marusię, które mi umilały pobyt w tym mieście, a lgnęły jak muchy do miodu. Miałem zaciszne mieszkanie, byłem tam cenzorem kin i teatrów, przez dłuższy czas. Wieczory i noce spędzałem nad rzeką, lub na łodzi na rzece, gdzie gromadziła się cała elita, gdyż przy świetle reflektorów, grała orkiestra wojskowa. Zostałem oficerem wywiadowczym, badałem nastrój ludności i w tym celu często jeździłem po okolicznych dworach, gdzie doznawałem wspaniałych przyjęć. Raz rozstawnymi końmi odbyłem 80 kilometrów. Najlepiej czułem się w domu właściciela Dobrowolskiego w **Zastówce**, który miał miłą córeczkę. Zastanawiałem się czy ją zabrać ze sobą do kraju, w razie, gdybyśmy się cofali, na co ojciec się zgadzał i byłby dołożył na wyprawę kilka worów pełnych srebra, miał bowiem kopalnię, przynoszące mu ogromny dochód. Pewnego dnia wspaniałym powozem zajechałem do jego dworu, aby przeglądnać znajdujący się tamże oddział żołnierzy, przydzielony do ochrony majątku przed sabotażystami. Właściciel powitawszy mnie wprowadził na ogromną werandę, gdzie huczał samowar i wyrzucał snop iskier. Usiedliśmy przy stole i napili się oczyszczonej, a następnie zabraliśmy się do wypicia sporej ilości herbaty, na sposób rosyjski to jest z talerzyków. Po śniadaniu spacerowałem w ogromnym parku, z Sonią 26 letnią córką gospodarza. Przed południem udaliśmy się łódką do pobliskiego folwarku, gdzie był rozmieszczony oddział wojskowy. Plutonowy zobaczywszy podpływającą łódź, a w niej oficera, podszedł i z brzegu meldował ilu ma szeregowców oraz donosił o najbliższych wydarzeniach w okolicy. Po objedzie, na którym zjedzono mnóstwo ryb i wychylnono jeszcze większe mnóstwo oczyszczonej i wina, właściciel kilku tysięcy dziesięcin ziemi i kilku kopalń rudy żelaznej udał się ze mną do gabinetu , gdzie kurząc wonne cygara, rozprawialiśmy o kwestjach politycznych. Przed wyjazdem tak odezwał się pan dworu do mnie: „Panie poruczniku Józefie Wojtichowyczu, weźcie Sonię za żonę, a dam złota i srebra skolko ugodno”. A na to porucznik, któremu Rosjanka bardzo się podobała odrzekł ze smutkiem:*

„Bojarze, Piotrze Iwanowyczu. Czasy niepewne, nie wiem czy sam z życiem do ojczyzny wrócę, nie mogę Soni narażać na nędzę i tułaczkę”.

„Da, da” mówił młody bojarczyn **Dobrowolski** i długo kiwał głową. Nie było czasu na uskuteczenie tego bo nagle otrzymałem rozkaz, gdy byłem z dala od dworu, aby wagonować oddział i jechać do Odessy. Z bólem serca siadłem na konia i jechałem z oddziałem na stację. Skończyły się dobre czasy, miłe księżycowe wieczory i noce, w towarzystwie upajających dziewcząt, trzeba było się gotować do wielkich, ważnych czynów, wyrzekłszy się wygod i zabić w sercu wszelkie uczucia. W Kriwoj Rogu był kościół katolicki, gdzie gromadziliśmy się w niedziele i święta, a ksiądz kapelan **Józef Borcz** z przemyskiej diecezji, otwarcie w czasie kazania mówił, że dni Austrii są policzone, a my musimy nad tem myśleć, jakby się dostać z całym taborem i pułkiem do Polski, która nas będzie potrzebować.

### **Alarm !**

Nad ranem dobijał się do okna w mojej kwaterze telefonista. Otworzyłem okno, odebrałem podany mi papier, zapaliłem świecę i czytałem: „Na rozkaz dowódcy dywizji, w dwie godziny po odebraniu depezy, bataljon ma być załadowany na pociąg i gotowy do odjazdu”.

Wstałem natychmiast i udałem się do oddziału, aby wydać odpowiednie rozkazy, a wróciwszy na kwaterę ubrałem czem prędzej ulankę, nałożyłem pas z bagnetem, rewolwer, lornetę, mapnik i torbę, w której miałem 1/2 miliona rubli i karbowañców na wypłacenie żołdu. Podczas gdy wielkimi łykami piłem kawę ordynans przypinał mi ostrogi, a telefonista siodłał wierzchowca. W niespełna godzinę tabory jechały w stronę stacji, kompanje maszerowały ze śpiewem, a ja ruszyłem galopem na jedną z ulic i osadziłem konia przed domem, w oknie którego stała Marusia. Pożegnanie było krótkie: „Dziękuję bardzo za towarzystwo i życzę szczęścia rzekłem, uściskawszy podaną dłoń i nachyliwszy się z siodła pocałowałem; uderzywszy wierzchowca w bok ostrogami, popędziłem za oddziałem.

Na stacji oficerowie Polacy zebrali się razem i zastanawiali się nad tem, co też obecnie może się dziać w kraju. Gazety nie dochodziły z kraju, a rosyjskie świeciły białymi plamami, wszyscy więc byli jak tabaka w rogu, tylko jeden ksiądz kapelan, który przed tygodniem wrócił z urlopu opowiadał jawnie, że Austrija kona, że wnet się rozleci, za co też chciano go aresztować. Mowa księdza kapelana sprawiła swoje, może nawet więcej niż się spodziewał, bo od chwili załadowania na pociąg nikt już nie myślał o Austrii, lecz o tem **jakby cały transport do Polski przeprowadzić.**

### **Bunt.**

Jadąc do Odessy naradzaliśmy się z księdzem co robić dalej i postanowiliśmy w Odessie nie wysiadać, lecz ogłosić się pułkiem polskim i wracać do kraju. Pociąg w szybkim tempie zbliżał się do Odessy. „Ciekawym co dalej będzie” mówiłem do kolegi. Nareszcie zatrzymał się transport w Odessie. Wówczas dowódca transportu Niemiec, wydał rozkaz do opuszczenia wagonów. W tej samej chwili zjawili się przed nim dowódcy kompanji i oświadczyli, że rozkazu nie wypełnią, albowiem postanowili w tych wagonach dojechać do granicy rodzinnego kraju. Kapitan zbladł, zsiniał, a gdy odzyskał mowę którą na chwilę utracił, rzekł podniesionym głosem: „To jest bunt!. Zaraz przyjdą oddziały niemieckie aby was rozbroić i pójdziecie pod sąd polowy”. Kapitan **Niklas** zagroził szubienicą i poszedł do telefonu, aby komenda miasta Odessy wysłała Niemców do rozbrojenia nas. Sytuacja była bardzo poważna. Ubrałem hełm stalowy, zatknąłem za pas granaty, wziąłem karabin do ręki i wydałem rozkaz, aby żołnierze zrobili to samo i wyjęli z wozów taborowych paczki z nabojami. Inni oficerowie zrobili tak samo i w pozycji bojowej czekaliśmy na dalsze losy.

Cała załoga pociągu była zdecydowana stoczyć walkę z Niemcami, ale ci się nie pokazali, bo już zaczęła się dzika demobilizacja. Wrócił kapitan Niklas z kilkoma Niemcami i oświadczył, że jedziemy dalej. Wówczas poszła doń delegacja podoficerów, wysłana przez nas, aby on opuścił transport i inni oficerowie Niemcy, a my będziemy wracać sami. Tak się też stało. Porucznik

**Śnieżko**, nauczyciel ludowy, który z drugim pociągiem – transportem nadjechał, nie był zorżetowany w sytuacji i kazał wysiadać swym żołnierzom. Wówczas kazałem go zamknąć w wagonie i puścić pociąg w ruch. Porucznik Niklas pozostał w Odessie, a dowództwo transportu objął porucznik **Sztern**. Ja zostałem jego adjutantem i od tej chwili funkcję adjutanta pełniłem przez dwa tygodnie. Wyjechaliśmy z Odessy, ksiądz **Borc** jechał z nami. Dziś patrząc na to z odległości kilkunastu lat, podziwiam naszą odwagę i brawurę. Przecież od kilku miesięcy nie mieliśmy gazet, byliśmy odcięci od kraju, nie wiedzieliśmy co się dzieje w świecie, a jednak **zdecydowaliśmy się na bunt, na walkę, na śmierć na szubienicy, czy od kuli**. Przez dwa tygodnie trwał powrót do ojczyzny. Ciężka to była droga. Trzeba było urzędników kolejowych dla siebie dobrze usposobić, aby przepuścili transport. Czyniłem to, dając jednym kilka flaszek rumu, innym wory mąki, innym kielbasy i słoninę, czasem rubla, a gdy to nie pomagało, wyciągałem potężny rewolwer "Steyer" i pociąg posuwał się naprzód. Często jechałem na parowozie i pilnowałem palacza i maszynisty, bo raz zdarzył się przykry przypadek, iż maszynista uciekł w pole, zostawiając maszynę na łaskę losu. Nieraz trzeba było rozbierać przydrożne domki na opał, aby nie zagasło ognisko na parowozie. W **Płoskirowie** dowiedzieliśmy się o abdykacji cesarza Karola. Jakiś młody osobnik przyczepił się do transportu, porozdawał żołnierzom orzełki polskie i namawiał ich, aby wymordowali oficerów, a sami poszli grabić okoliczne dwory. Wówczas Ludwik-Karol z Jarosławia, rzeźnika syn, student, zastrzelił go, a żołnierze prosili aby oficerowie nadal nosili odznaki oficerskie i nimi dowodzili. Madjarzy swych oficerów zamykali w wagonach i podpalali. Jeden Polak uciekł od nich do nas i tu z powodu manji prześladowczej zastrzelił się w wagonie.

Po wielu trudach, po wielu nie wyspanych nocach udało się szczęśliwie doprowadzić transport do **Wołoczysk**, gdzie zmęczeni żołnierze razem z oficerami musieli cały dobytek przeladować do wagonów wąskotorowych. Tu dopiero zaczęła się ciężka praca. Rosyjskie koleje były szerokotorowe, austriackie węższe. Trzeba było wyszukać 120 wagonów i przeladować 2 baony, 2 transporty. Oficerowie i żołnierze wspólnymi siłami dokonali tej pracy. Tymczasem zjawiała się jakaś delegacja ukraińska.

### **Haniebna zdrada.**

Delegacja ruska która przybyła ze Lwowa, układała się z dowódcą transportu „w sprawie przejazdu przez wschodnią Małopolskę”. Rusini żądali złożenia broni. Na to oficerowie i żołnierze oświadczyli, że jak z bronią wyruszyli na pole walki, tak też z bronią wrócą do Jarosławia, gdzie był pułk w 1914 roku stacjonowany; komu przypadnie wówczas broń to zdecydują odpowiednie czynniki; gdyby zaś Rusinom to wydało się krzywdą, komendant zaproponował walkę orężną.

Nareszcie stanął układ. Polacy mieli być przepuszczeni przez wschodnią Małopolskę, lecz linią kolejową przez Rusinów wskazaną, inaczej zagrozili wysadzeniem mostów. Podpisano umowę i transport ruszył trasą na Tarnopol – Sambor – Chyrów – Jasło – Rzeszów - Jarosław. Myśmy nic w tym czasie nie wiedzieli, że z Ukraińcami walczą dzieci i kobiety.

Rusini nie dotrzykali układu i nocą zdradziecko napadli na śpiących żołnierzów, chcąc ich rozbroić i ograbić, zasypując ich gradem kul z karabinów maszynowych i ręcznych, oraz granatami. Czuwałem przez cały czas podróży i gdy tylko spostrzegłem niebezpieczeństwo, natychmiast wyskoczyłem z wagonu i budziłem śpiących. Walka zacięta trwała do godziny 12-1 w nocy. Holota ruska obsadziła wozy transportowe jako najslabiej bronione i podpałała wóz bagażowy obok maszyny. Ukraińcy zatrzymali pociąg w miejscu dla nas fatalnym. Z jednej strony wał obsadzony przez kompanję ukraińców, z drugiej ogromne jezioro. Ponieważ w moim wagonie świeciła się lampa, porucznik-żyd, podszedł pod mój wagon i zażądał, aby transport oddał broń. Powiedziałem mu. Że dowódca może o tym zdecydować, a on jest na końcu transportu. Gdy się oddalił, wyskoczyłem z wagonu i zaalarmowałem śpiących. Rozległy się strzały wroga gdy dowódca odmówił oddania broni. Ciemno, północ, brak orjentacji, bitwa w całej pełni. Ukraińcy podpalili wagon taborowy ze słomą i sianem. Gdy ogień rozświetlił pole walki, Polacy przypuścili atak i odparli bandytów. Rankiem obliczono straty. Dwunastu zabitych i osiemnastu rannych było w bataljonie. Za bandytami urządzono pościg i ukarano ich przykładowo. Dowódca transportu **Stern**



**Jakób**, sędzia (zmarł w Sanoku 2 lutego 1938 roku) wydawał wyroki śmierci. Zabitych Polaków pogrzebano na cmentarzu pod **Chodorowem**. Naszych żołnierzy zginęło 12, a szeregowy **Jałowy Józef** z Lubaczowskiego stracił nogę. Gdyśmy się załadowali do wagonów, zobaczyliśmy ścigającą nas pancerkę ukraińską, lecz została unieszkodliwiona – puściliśmy na nią dziki transport.

Następnie bez przeszkód, przez **Stryj, Drohobycz, Chyrów, Jasło**, wrócili żołnierze do miasta, skąd w roku 1914 pierwsze zastępy wyruszyły do boju. W Jarosławiu była już zorganizowana mała kadra wojska polskiego z dwu austriackich pułków, które tam były stacjonowane. **Przywieźliśmy ponad 120 wagonów, 6 parowozów, 150 koni. 40 karabinów maszynowych, połowe armatki, dużo mąki i pszenicy- wszystko to przeszło na własność polskich oddziałów w Jarosławiu.** (Nasza historia pod Chodorowem, Kriwoj Rogu i Odessie, opisana została w Zarysie Historji Wojennej 14 Pułku Piechoty. Historyczne Biuro Wojskowe. Warszawa 1929).

Po 18 dniowych trudach dosiadłem jeszcze wierzchowca i dojechałem do domu, lecz gorączka ponad 40 stopni, która mnie kilka dni trawiła, powaliła mnie na łożo, z którego dźwignąłem się dopiero po kilku dniach. Z początku gdy gorączka ustąpiła, nie chciałem wierzyć, że jestem w Polsce, że jestem w domu rodzinnym, a gdy sobie przypominałem ową straszną noc pod Chodorowem, bitwę w ciemnościach, strzaskany od kul i granatów wagon, w którym jechałem, zabitego ordynansa, podłogę zlaną krwią, dziękowałem Bogu, że nie wziąłem ze sobą **Soni**, bo na pewno byłbym ją zostawił na cmentarzu razem z żołnierzami, których opłakałem.

**Tak z a k o ń c z y ł e m p i e r w s z ą w o j n ę ś w i a t o w ą.**

### **Komendant Straży Obywatelskiej.**

Nie odpocząłem jeszcze, gdy pewnego dnia przyszedł do mnie wójt **Jan Kmiec** i oznajmił, że wymordowano rodzinę **Benziora Charytana**, że na czele bandy złożonej z opryszków tuczempskich stoi **Piotr Mrozowicz** i zamierza obrabowywać najbogatszych gospodarzy. Wstałem tedy, było to 2 grudnia 1918 roku i pojechałem do Jarosławia., gdzie zgłosiłem się do pułku i **zostałem mianowany komendantem milicji w Tuczempach**. Na wyposażenie posterunku przywiozłem 50 karabinów meksykańskich z nabojami; zorganizowałem straż z przybyłych z wojny żołnierzy, ludzi starszych, wyznaczyłem dom na wartownię, ogłosiłem stan oblężenia i wysyłałem ciągle patrole po wsi. Kto by na zawołanie nie stanął w nocy, kazałem do niego strzelać. Tembardziej trzeba było być czujnym, bo za Sanem w Surochowie zorganizowała się banda Ukraińców i miała zamiar atakować Jarosław. Przez kilka dni wszystko szło w porządku. Codziennie wyznaczałem wartę. Rozkazy spełniano.

Po kilku dniach kilku opryszków zaczęło się buntować przeciwko mnie. Zwołałem tedy całą wieś do szkoły i w obecności rady gminnej, nauczyciela porucznika **Maciałka** i proboszcza **Zycha**, ubrany w ułankę z epoletami na ramionach, szablą i rewolwerem przy boku, zapytałem jakie zarzuty mają przeciw Straży. „Warty to my chcemy, ale pana porucznika nie chcemy, bo pan bierze za to pieniądze, a my za darmo to robimy”. „Jak nie będę ja, to będzie kto inny, bo broń nie może zostać bez komendanta”, odpowiedziałem. „To niech będzie inny” ktoś z tłumu powiedział. Teraz poznałem, że zazdrość przemawia, że nikt nie jest prorokiem w swej miejscowości. Więc w imieniu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej ogłosiłem, że rozwiązuję Milicję Obywatelską, a karabiny mają być do godziny 12 dnia następnego złożone w wartowni. Gdyby tego nie zrobiono, nakładałem na wieś kontrybucję i pierwszą krowę biorę memu ojcu. Zdębieli. Karabiny na czas oddali. Brat Janek odwiózł mnie, karabiny i amunicję do Jarosławia.

Zamieszkałem w koszarach, objąłem dowództwo kompanji, do której wnet z poboru dostali się Tuczempianie. Ładnie się mieli u mnie. Udawałem, że żadnego nie znam. Nikt nie dostawał przepustki do domu. Jeden, **Ledwos Ludwik** poszedł bez przepustki. Za to dostał 7 dni aresztu ścisłego o chlebie i wodzie. Teraz zobaczyli, że chociaż cesarza nie ma, dyscyplina w wojsku nie zginęła i spokornieli. W Jarosławiu pozostałem jako dowódca kompanji i oficer broni do września 1919 roku. Miałem dwa mieszkania ; jedno w koszarach, drugie w hotelu „Wiktorja” naprzeciw „Sokoła”. Ordynansem był sąsiad **Władysław Maksym**, który czasem lubiał zanadto pospać, za co otrzymywał surowe cięgi. Jednak bardzo był do mnie przywiązany, bo gdy go chciałem zostawić w

Jarosławiu, prosił mnie abym go wziął na front ze sobą. Za to go polubiłem. W tym czasie wykonywałem różne zadania.

### **Spełnione marzenia.**

*W nędznej szopie kolejowej, zbudowanej na lewym brzegu Sanu, siedział na kłodzie drzewa porucznik Wojsk Polskich i grzał się przy ognisku. Posterunki czuwały aby nieprzyjaciel nie wysadził mostu, zaś karabin maszynowy od czasu do czasu wyrzucał kilkanaście kul w przyległe zarośla. Oficer w ciągu nocy kilkanaście razy kontrolował strażę, przechadzał się po moście, wyciągając wzrok, czy nie zobaczy czegoś podejrzanego. Kiedy świtać zaczęło i w pomroku ujrzał kontury wieży na kościółku w swej rodzinnej wiosce, zdjął czapkę, wyjął różaniec, który był jego nieodstępnym towarzyszem w czasie wojny i zaczął się modlić. A gdy skończył modlitwę i ofiarował ją za tych, którzy zginęli na wojnie, cofnął się myślą o kilkanaście lat wstecz, kiedy to, jako mały chłopiec, marzył o tym **aby widzieć kiedy polskiego żołnierza i wolną Polskę**, ścisnęło go coś za gardło i łzy mu z oczu popłynęły, bo nie tylko oglądał żołnierza w polskim mundurze, lecz także sam w armji polskiej miał stopień porucznika. Jakże czuł się szczęśliwy, jakie uczucia wdzięczności względem Boga budziły się w jego sercu.*

*Rozważania te przerwał mu kapral, meldując iż przyniósł jajecznicę i prosi, „aby pan porucznik zechciał skosztować”, to mówiąc podawał pół menażki tego specjału. „Pewniście urwipolcie to gdzieś kupili” mówił porucznik robiąc przytem wymowny złodziejski gest ręką, a może nawet u mego ojca bo dom tu nie bardzo daleko, ale czort z wami, dobrzy chłopcy jesteście, dawać jajecznicę.*

### **Raz u księdza kapucyna.**

*W śliczny poranek wiosenny, 1919 r. oddział piechoty maszerował z ćwiczeń. „Odrąbiono” powiedział dowódca i zwiesiwszy głowę, szedł wolnym krokiem. „Jakoś porucznik nasz smutny mówili żołnierze, trzebaby coś zaśpiewać, to się rozweseli, bo ogromnie lubi piosenki żołnierskie. Za chwilę w pierwszych szeregach zaśpiewano: **”Raz u księdza kapucyna -spowiadała się dziewczyna”**. Za pierwszymi szeregami zaczęły śpiewać następne i tak z piersi dwustu żołnierzy wyrywał się potężny śpiew. Lekarstwo było dobre. Porucznik podniósł głowę, zapalił papierosa, podał papierośnicę idącym obok podoficerom i uśmiechał się.*

*Nagle pieśń się urwała i cisza zapanowała w szeregach. „A to co się stało” - zdziwił się porucznik. „Panie poruczniku, melduję posłusznie, przestaliśmy śpiewać, bo idzie ksiądz z klasztoru”. „Bardzo mnie to cieszy, że moi żołnierzy szanują księży. Tak winien czynić każdy żołnierz polski. Widzę, że moja nauka nie poszła w las” mówił zadowolony porucznik i podnosząc rękę do czapki kłaniał się kapłanowi. A gdy zakonnik znikł w bramie szpitala, rozległa się znowu pieśń: **”Chodziłem po polu i zbierałem kłosa i zbierałem kłosa. Takie dziewczę kocham, takie dziewczę kocham, co ma jasne włosy”**. A kiedy kończyli ostatnią zwrotkę: **”Bo polska dziewczyna, ma ten urok w sobie. Kto ją raz pokocha – nie zapomni w grobie”**. Już czoło kompanji wchodziło na plac ćwiczeń.*

W mej liście kwalifikacyjnej z lipca 1920 roku czytałem o sobie opinię tajną napisaną przez podpułkownika Buntnera Aloizego : „**Prawy charakter. Ukochany przez żołnierzy. Sprawnie dowodzi, dobrze się orientuje. S p r a w i e d l i w y.**” Ostatnie zdanie, z jednego słowa się składające bardzo mnie zawstydziło, bo sprawiedliwym jest tylko Bóg. Stary oficer, dowódca bataljonu zapasowego, bardzo dobry, praktykujący katolik, widział coś w mym zachowaniu się, czego nie było u innych oficerów, a co ja uważałem za normalne zachowanie się, nie zasługujące ani na nagane, ani na wyróżnienie.

We wrześniu zawołał mnie pułkownik Buntner, dowódca i oświadczył, że nie ma innego oficera, który by doprowadził na front bataljon marszowy **składający się z elementów awanturniczych i**

**takich, których dopiero wypuszczono z więzienia;** do tego ja się tylko nadaję, ja potrafię utrzymać dyscyplinę, bo mnie lubią i boją się. A więc, zostałem przeznaczony na dalszą tułaczkę.

### **Dowódca bataljonu.**

*„Panie poruczniku ! Przeznaczam pana na dowódcę bataljonu marszowego i jutro, o godzinie 8. rano , odjedzie pan na front” mówił stary podpułkownik. „Rozkaz panie pułkowniku”. Odrzekł wyprężony jak struna porucznik i wyszedł z koszar. Udał się natychmiast do klasztoru, gdzie poprosił o spowiedź, następnie pożegnał rodziców, a wydawszy ordynansowi odpowiednie rozkazy udał się na odpoczynek.*

*Na drugi dzień o godzinie czwartej rano ordynans Władek( Maksym-uwagi TS), dobijał się do bramy hotelu „Victoria”, gdzie mieszkał porucznik. Zabrawszy plecaki, obaj ruszyli do koszar, gdzie panował ruch nie do opisania. Sierżanci sprawdzali czy wszyscy są obecni, dowódcy kompanji sprawdzali każdego żołnierza z osobna, czy jest należycie ubrany i uzbrojony, a gdy wszystko uporządkowano odebrał porucznik raport i oddział zapasowy ruszył przy dźwiękach orkiestry na stację. Szkoda, że nie widział tego profesor, który przed kilku laty przemawiał do obecnie porucznika, a ongiś ucznia III. Kl. gimnazjum;”**a cepy, a widły tobie bałwanie”**. O godzinie ósmej pociąg ruszył. Na stacji w Jarosławiu przemówiłem do żołnierzy serdecznie. Obiecali zachować porządek. Przez Muninę, Rawę, Włodzimierz pojechałem do Łucka, gdzie był pułk.*

*Tam spotkałem brata Janka, który służył od roku 1916 do 1918 w austriackiej armji i był na włoskim froncie gdzie się malarji nabawił, a od 1919 był w jarosławskim pułku i walczył o Lwów i Przemyśl.*

### **Wyprawa wojenna.**

*I znowu byłem na froncie, ale już nie w Muninie na moście na Sanie jak w styczniu 1919, lecz dalej. Po kilkudniowym pobycie w Łucku, jako komendant 3-ciej polowej kompanji i dowódca półbataljonu, ruszyłem na wschód od **Glewska**, aby obsadzić wieś **Jurowo**. Wieś obwarowałem, na kwaterę dowództwa wyznaczyłem najlepszy dom żydowski. Trzeba było mieć się na baczności, bo na lewo i prawo od siebie na 30 kilometrów nie było żadnych oddziałów. W nocy spałem w ubraniu, zawsze gotów do walki. Raz wyruszyłem w stronę Korostania na bolszewików.*

*Po przeprawieniu się po moście naprędce zbudowanym, posuwał się lasami **Wołynia z Perga nad Uborcią**, w stronę **Korostania** , marszem ubezpieczonym bataljon wojsk polskich. Straż przednią prowadził dowódca 3 kompanji, młody porucznik. Co chwila wstrzymywał konia, przykładając lornetkę do ocz, badał teren, a kompanja patrzyła i obserwowała ruchy dowódcy. Las się skończył. W oddali we mgle słabo rysowały się kontury wioski **Czerwonki**. Porucznik zsiadł z konia, dał znak do rozproszenia się w tyraljerkę i ruszył w stronę wioski, w której spodziewał się zastać bolszewików. I nie omylił się, bo gdy zbliżyli się do wioski zasypał ich maszynowy karabin gradem kul. Tyraljerka padła na ziemię. Porucznik zerwał się pierwszy i zawołał potężnym głosem: ”Do ataku ! Naprzód. Hurra”. Skoczyli żołnierze i za chwilę mieli karabin maszynowy w swych rękach. Bolszewicy uciekli do następnej wioski, z której też wypłoszeni, pochowali się w las. Zarządzono odpoczynek, w czasie którego żołnierze zajadali wzięte „do niewoli”, przez bolszewików upieczone gęsi, kilka beczek mięsa z dzików i jeden karabin maszynowy.*

*Po powrocie z wyprawy, dłuższy czas spędził porucznik w Perdze, którą jako dowódca polowy bataljonu kazał otoczyć okopami i zasiekami, wedle planów osobiście sporządzonych. Ciężka to była placówka, bo nie było stałego frontu, lecz prowadziło się walkę podjazdową i ze wszystkich stron można się było spodziewać ataku nieprzyjaciół, a co najgorsze to wszystkim dokuczał głód i ubrania były bardzo liche a służba ciężka. Dowódca widząc żołnierza głodnego i obdartego, ciężko wzdychał w ukryciu i nie raz łza mu się kręciła w oku.*

### **W objęciach śmierci.**

Po dwu miesiącach walk zachorowałem na tyfus i wieziono mnie do szpitala w **Kowlu**. *Od 10. godzin ciągnęły zbiedzone koniki, piaszczystą drogą leśną wysłany sianem wóz, nakryty namiotem. Na sianie pod namiotem leżał dowódca bataljonu. Zachorował na tyfus z głodu. Nareszcie po przebyciu około 50. kilometrów drogi złożono chorego w wagonie na brudnym worku słomy. Po kilku godzinach pociąg ruszył i leniwie posuwał się po szynach. W wagonie, w którym leżał porucznik, leżało na barłogach wielu chorych. Brudni, obdarci, głodni, spragnieni, wzywali raz po raz pomocy sanitariusza ale nikt się nie zjawiał. Na nieszczęście, chociaż było to w listopadzie, spadł ogromny śnieg, że pociąg stanął na przestrzeni na przeciąg kilku godzin. Zimno było w wagonach. Chorzy jęczeli i narzekali na brak opieki. Oficer skłonił głowę na bok a po twarzy spływały mu łzy. Zapomniał iż sam głodny, spragniony, zziębnięty, leży na wstrętnym barłogu, a żal mu się zrobiło tych młodych chłopców palonych gorączką, którym nie miał kto kropli wody podać. Oni przecież pod jego dowództwem bronili granic Najjaśniejszej Rzeczypospolitej ; kilka dni temu szli o głodzie do ataku i pobili nieprzyjaciela, prawie nadzy, przedwczoraj jeszcze stali na straży w lesie, a teraz złożeni ciężką niemocą, bo tyfusem, byli pozbawieni wszelkiej opieki.*

*Pociąg zatrzymał się w Kowlu. Chorych złożono w zaimprovizowanym szpitalu, w sali, w której leżało już kilku bolszewików. Też ładne staranie o oficera polskiego ! !. Podczas gdy kilku młodych żołnierzyków poszło do Boga po zapłatę za wierną służbę, organizm porucznika zmagał się z chorobą, zwyciężył ją. Po czterech tygodniach wyjechałem ze szpitala, niby zdrów, wstąpiłem po drodze do domu, a po dwu dniach wyjechałem do **Aleksandrowa Kujawskiego** bo tam się przeniosła kadra zapasowa z Jarosławia. Wracałem , ale już sam bez ordynasa nawet, do macierzystego oddziału, gdzie odpocząwszy objął dowództwo kompanji.*

### **Przyjęcie w Ojczyźnie.**

*Podczas kiedy zmagalem się z bolszewikami, kadra zapasowa pułku przeniosła się do innego, o setki kilometrów oddalonego miasta. Tam to podązałem, aby się zgłosić u dowódcy. Kwatermistrz wyznaczył mi mieszkanie, u pewnej wdowy, mającej przekwitłą już córkę na wydaniu. Wedle relacji kwatermistrza, miała być gospodyni bardzo zadowolona, iż „pan porucznik” będzie u niej mieszkał. W polowym mundurze, zniszczonym przy odwszeniu, opierając się na lasce, stanąłem przed właścicielką mieszkania. Skoro baba zobaczyła takiego pierwszej klasy kawalera, zdechlaka, któremu było bliżej grobu niż życia, prysły nadzieje na zamążpójście córki i oświadczyła, że mieszkania nie odda. Porucznik, który nie z jednego pieca chleb jadł, od razu zrozumiał o co chodzi i rzekł: „dla Niemców było niedawno mieszkanie, a dla mnie nie ma, zobaczymy”. Wyjąłem gwizdawkę i kilkakrotnie ostro gwizdnałem. Na ten sygnał zlecieli się żołnierze i którym poleciłem wywalić drzwi. Stara jęzda widząc na co się zanosi, oddała klucze do salonu. A że żołnierz, który milion razy śmierci patrzył w oczy, nigdy urazy nie chowa, puściłem w niepamięć zachowanie niehumanitarne, a co więcej codziennie zamawiałem u niej kilka herbat, za które płaciłem drożej, niż w pierwszorzędnej knajpie. Poleżałem u niej 2 tygodnie. Widać źle wyglądałem, bo gdy wszedłem do kasyna, zagrano mi marsza pogrzebowego. Odpocząwszy pojechałem na urlop do Tuczemp. Urlop nie był wesoły, bo ojciec nie był zadowolony z mej służby wojskowej i w samą wigilję Bożego Narodzenia brat zaprzęgił siłą konie i kazałem odwieźć się do Jarosławia. Tam zamieszkałem w hotelu.*

*Oprócz nieprzyjemnych, są w życiu i bardzo przyjemne zdarzenia. Takim przykładem zdarzeń był fakt, iż na drugi dzień spotkałem się w tem obcym miasteczku ze swą koleżanką z dawnych lat. Ostatni raz widziałem ją przed wybuchem światowej wojny. Potem słych o niej zaginął; nieraz pytałem co się z nią stało, a oto teraz spotkaliśmy się znowu. Była też na kwaterze tak jak i ja, mając tymczasowe zajęcie w jednym z biur wojennych. Radość z tego spotkania była tym większa, że obopólna. Odtąd każdą wolną chwilę spędzaliśmy razem, przez blisko rok. Zawsze na ulicy, w kawiarni, teatrze , na zabawie byliśmy razem, tak , że niejedni uważali nas za bardzo dobre małżeństwo. To też często zdarzały się wypadki, że w czasie zabawy przystępowali do nas różni cywile, których uroda dwudziestoletniej dziewczyny pociągała i robiąc grzeczną minę mówili – panie poruczniku – proszę żonę do tańca. Porucznik uśmiechał się, kiwał przyzwalająco głową,*

dancerz zaś całował **Ilonkę** w rękę i szedł w tany. Ja nie lubiłem tańców. Na zabawy chodziłem tylko dla niej, bo mnie o to bardzo prosiła. W czasie zabawy siedziałem sam, wypijałem kilka herbat i kilka cygar puszczałem z dymem. Ilonka była mi wdzięczną za opiekę wśród obcych. Dzisiaj jest radczynią.

**Taki los wypadł nam – że dzisiaj tu – a jutro tam.**

Kadra bataljonu zmieniła miejsce pobytu. Przeniesiono ją do pięknego miasta Włocławek, gdzie objąłem dowództwo 1. kompanji zapasowej. Wyjechałem, aby objąć w posiadanie koszary i wyszukać mieszkania dla oficerów. Najgorzej było z pomieszczeniem maszynistek pracujących w wojsku. Żadna z pań domu nie chciała słyszeć o odstąpieniu mieszkania na kwaterę dla „panny” zajętej w wojsku. Widać było, że wchodzi tu strach o „cnotę” męża. Natomiast oficerom chętnie dawano mieszkania. Ostatecznie wszyscy otrzymali mieszkania. Zaczęło się natomiast życie koszarowe. Pobudka, raport, ćwiczenia, obiad, ćwiczenia, rozkaz i.t.d. Aby tę monotonię rozerwać, wybrałem się pewnego lipcowego pięknego popołudnia, w towarzystwie jednej eksmaszynistki, jednej wdówki i urzędniczki prywatnej na wycieczkę. Pogoda sprzyjała, wietrzyk łagodził upał, powietrze przesycone zapachem świerkowych lasów sprawiało rozkosz. Po kilku godzinach zerwała się ogromna burza z piorunami, a deszcz lunął jak z cebra. Nie było żadnego schronienia, trzeba się było poddać losowi. Kiedy burza przeszła, sprowadziłem zamknięty powóz, wsadziłem towarzyszkę, do których przykleiły się sukienki i ruszyliśmy cwałem w kierunku kwatery. Szczęściem ordynans był w domu, zapalił w piecu i ugotował herbaty. Podczas kiedy porozwieszane części garderoby się suszyły, wycieczkowcy okryci prześcieradłami i ręcznikami siedzieli po turecku na łóżku i pili czaj z koniakiem.

**Zbliżały się czasy brzemienne w wypadki.** Dzicz bolszewicka ruszyła na Polskę. Kto żył, kto był zdolny, na zew naczelnika państwa i ministra Witosza, chwytął za broń. Pod moje dowództwo oddał pułkownik nowozacieżnych, było ich 1400 oraz 200 podoficerów. Zgłosił się też mój gospodarz **Wapniowski**. Wprawdzie miałem trzech oficerów do pomocy, a i tak wiele miałem utrapienia, aby dać każdemu co mu się należy, nikogo nie zniechęcić, każdemu ile można osłodzić ciężką dolę żołnierską. Nic też dziwnego, że wnet mnie polubili, bo nigdy się nie gniewałem, nie kłąłem, do każdego się uśmiechałem, z każdym rozmawiałem. Na pamiątkę wspólnej służby **ofiarowali mu szablę**. Jeden z właścicieli dóbr zaznajomiwszy się bliżej ze mną, proponował mi, czybym się nie ożenił z jego bratanicą ziemianką. Inny, mieszczanin zapraszał na wieczór pożegnalny wydany przez jeden z cechów na cześć tych, którzy stanęli w potrzebie. Woląłem wybrać z dwójga złego (bo lubiłem spokój) to mniejsze i obiecałem przyjść na wieczór pożegnalny, gdzie przy okazji wytłumaczyłem szlachcicowi iż mnie małżeństwo nie pociąga.

Jeden z obywateli, który świeżo ubrał mundur prosił mnie abym się do niego sprowadził na mieszkanie i zaopiekował się jego gospodarstwem i żoną, gdy on wyruszy na front, zwłaszcza że ma przecucie śmierci. Sprowadziłem się do miłego domku leżącego pod lasem, ale niedługo tam mieszkałem, bo za tydzień ruszyłem po raz czwarty w pole, zostawiając dom pod opieką wiernego ordynansa. **W okopach spotkałem brata swego, szeregowca. Oцениwszy sytuację jako groźną, nic nie rzekłem, tylko wydarłem kartkę z notesu, napisałem bratu przepustkę, ucałowałem go i rzekłem: „nie możemy zginąć obaj. Jesteś potrzebny rodzicom. Wracaj do miasta, póki most istnieje”.**

12 sierpnia 1920 roku obsadziłem odcinek za Wisłą, obok przyczółka mostowego Włocławek, a 14 sierpnia już pokazały się awangardy bolszewickie kawalerji **Gana**. Przykra była sytuacja, bo miałem odcinek 3 kilometrów, a 120 ludzi obsady i dwa karabiny maszynowe. Naprzeciw zaś chmara kawalerji waliła od wsi **Chelmicy** i kupa piechoty z karabinami maszynowymi. Atak odparłem, lecz zostałem ranny w nogę. Musiałem opuścić pole bitwy, oddając dowództwo porucznikowi **Rożkowi**. W szpitalu klerycy-sanitarjusze włożyli mnie na nosze i odwieźli do szpitala „na piaskach.” **Dr Zalewski**, lekarz opatrywał mi ranę, **przestrzał podudzia**, a ja się wesoło uśmiechałem, ku przerażeniu sanitariuszek, sióstr Warszyckich, które były nowicjuszkami. Jak pan porucznik może się śmiać, mówiły z przerażonymi twarzami. To dla mnie nie nowina

-proszę pań, gorzej bywało. Gdy rana przysychała, gorączka się wzmogła i czułem większe osłabienie. Tymczasem huk armat się wzmagał, maszynki granaty nieustannie rzucały, trzask karabinów ręcznych był bardzo nerwowy. Sanitarjuszki zgromadziły się w mej sali, załamując ręce i lamentując, co to będzie panie poruczniku. Uspokajałem je, żeby się nie bały. W najgorszym razie opuścimy szpital, ale do miasta bolszewicy się nie dostaną, tłumaczyłem im. Na drugi dzień granaty zaczęły padać na szpital. Szpital wycofał się w stronę **Kowala**, aby odjechać do **Łodzi**. Ja nie chciałem się ruszać ze szpitala, ale brat Janek mnie namówił i złapał opuszczone fiakerskie konie z powozem, wywiózł mnie. W Kowalu wsiadłem na pociąg, lecz nie pojechałem do Łodzi lecz do **Kutna**. W Kutnie kazałem się wynieść z transportu i czekałem na pociąg jadący do **Krakowa**. W Krakowie poleżałem tydzień a potem wróciłem do „szpitala na piaskach” we Włocławku, skąd przez okno obserwowałem swe koszary. Dowiedziałem się, że nad Wisłą zginął mój gospodarz Wapniowski.

Po wyleczeniu się z ran, wyjechałem na miesiąc na kurację do Ciechocinka, gdzie zamieszkałem w Świteziance. Tam poznałem się z pierwszą żoną pana marszałka Piłsudskiego i często odbywałem z nią przechadzki.

Wróciwszy do pułku, objąłem dowództwo kompanii i zamieszkałem na dawnej kwaterze u wdowy po poległym Wapniowskim. Ordynansowi dałem polecenie aby jej pomagał w pracy przy gospodarstwie. Po miesiącu miała jedna kompanja odejść na Litwę. Zgłosiłem się na jej dowódcę i wyjechałem do Łodzi, aby przywieźć dla niej mundury. Tam zaglądnąłem przypadkiem do Dowództwa Okręgu Korpusu i od kolegi **Schoppa**, dowiedziałem się, że moja prośba o zwolnienie z wojska została uwzględniona przez Ministra Spraw Wojskowych i mam być zwolniony pierwszego października 1920 r. Ogromnie się ucieszyłem, spełniły się moje marzenia, że nareszcie będę mógł wstąpić na teologię, do której czułem specjalny pociąg.

## W s ł u ż b i e B o g a

**Dlaczego doświadczenie wieków  
na nic się nie przyda  
Dlaczego człowiek wszystkiego  
musi doświadczyć sam ?**

*W opracowaniu zatytułowanym „Wspomnienia z życia”, którego ostateczny tekst został przepisany tuszem w **Krzemieńcu**, autor tak opisuje swoje dalsze losy: Dziwne działy się rzeczy w historii dotąd nie zapisane, jak długo historia powszechna istnieje, na które ja osobiście patrzyłem i w których brałem częściowo udział. Krwawy szal ogarnął narody. Nastąpiła wielka tragedia, ponieważ i nędzy, wojna światowa w latach 1914 – 1918, a po niej wprawdzie krótsza, bo dwuletnia, ale o wiele straszniejsza walka z ukraińcami i bolszewikami. Potworne smoki o stalowych paszczach zionęły ogniem. Wszystko co dała wiekowa praca i ludzki znój, deptano, niszczone, palono. Kędy kwitły lany łąk i pól krwawy toczył się bój. Pociski ryły ziemię, rozrywały powietrze, waliły drzewa z korzeniami, zmiatały budynki z powierzchni ziemi, wyrzucały trumny z grobów, na co wszystko patrzyłem z przerażeniem, później jak na rzecz zwyczajną. Śpiewałem w świątyni z innymi : ”**Ojczyznę - wolność – racz nam wrócić Panie**”. A potem widziałem pogrom nieprzyjaciół, widziałem jak waliły się trony wrogów, jak wylaniała się wolna, niepodległa Polska, jak wytyczała i utrzymywała swe granice. Byłem świadkiem jak powstawało państwo kościelne, jak chwiał się cały porządek społeczny, system kapitalistyczny, jak szukano dróg, aby przywrócić równowagę w świecie. Doczekałem się 1900 – lecia i zmartwychwstania Zbawiciela, Jezusa z Nazaretu. Wszystkiego opisać nie mogę, ale choć cząstkę przeżyć opisać postanowiłem, **bo może to kiedyś zainteresuje kogoś z mojej rodziny, z mojej wioski rodzinnej, gdy ze mnie i tych co to przeżywali śladu już nie będzie, gdy kości nasze w proch się obrócą, a pamięć o nas zaginie. Nie ma nic trwałego na świecie, a gdy człowiek znika z oczu, znika i z pamięci. Bóg tylko trwa***

**wiecznie.**

*Rodzice moi, Wojciech i Katarzyna, byli bardzo pobożni. Codziennie rano śpiewali godzinki ku czci M. Bożej, a wieczorem odmawiali różaniec. I mnie, w tym duchu wychowywali. Gdy jako małe dziecko zachorowałem, zawieźli mnie do kościoła O.O. Dominikanów w Jarosławiu i tam mnie ofiarowali M.B. prosząc, abym kiedyś został kapłanem. Często mimo milowej odległości prowadzili mnie do kościoła parafialnego i tam się modlili przed ołtarzem Najświętszej Rodziny. Kiedy miałem 8 lat, raz wzięli mnie wieczorem na rekolekcje-misje do Jarosławia. Redemptorysta na ambonie, w mroku wieczoru, zrobił na mnie wielkie wrażenie. Zapamiętałem sobie, że gdy codziennie będę odmawiał 3 razy Zdrowaś to nie umrę bez spowiedzi i komunji świętej. I odtąd przez całe życie trzymałem się tej praktyki z wielką dla mnie korzyścią. Nie wiedziałem jeszcze wtedy o tym, że Sokrates uczył iż **ten się najlepiej modli, który milczy.***

Tak się szczęśliwie złożyło, że z powodu wypadków wojennych, rok szkolny na wydziale teologicznym w Przemyślu zaczął się 1 listopada 1920 r., o czym mnie zawiadomiono. Oddałem dowództwo kompanji i natychmiast wyjechałem do Przemyśla.

Przezacny 80 letni Rektor ks. **Teofil Łękawski**, oglądając mą szablę i ostrogi, radził, abym się dobrze zastanowił, bo studjum teologiczne jest długie i ciężkie, obowiązki wielkie, a ja mam ładne stanowisko w państwie, które opuszczam. Ujął mnie staruszek swym wyglądem, więc odrzekłem: **„Przez całą wojnę, przez 6 lat zastanawiałem się nad tem, a głos wewnętrzny w najcięższych bitwach, w ogniu huraganowym, w walce na bagnety, mówił mi bardzo wyraźnie, że nie zginę, bo muszę zostać księdzem i ten głos mnie tutaj przyprowadził”.**

Proszę sobie wybrać salę na parterze – powiedział ks. rektor i mile mnie pożegnał. Rozlokowałem się w jednej z dwóch sal i zapaliłem papierosa, jak po ciężkiej pracy. Co jest cesarskiego oddajcie cesarzowi, a co boskiego Bogu – powiedział Mistrz z Nazaretu. Spełniłem obowiązek względem Ojczyzny, jak mogłem najlepiej. W wywalczeniu jej granic i wolności przelałem krew, spędziłem wiele nocy bezsennych o głodzie i chłodzie, a gdy sztandar wolności silnie, niezagrożony nad nią zaczął powiewać, szablę ofiarowaną mi przez obywateli ziemi nieszawskiej, we Włocławku w roku 1920, w dniu mych imienin, powiesiłem jako wotum na ołtarzu w kościele Chłopickim, zbudowanym przez króla Jana III Sobieskiego. Niech świadczy o opiece Matki Bożej nademną, w czasie wojny światowej, ukraińskiej i bolszewickiej i niech innych zachęca do ufności w Jej opiekę. Zawaliły się trony, pomarli cesarze, rządy w powojennych państwach zmieniały się jak rękawiczki, więc co za pociecha w takich czasach stanąć pod sztandarami Nieśmiertelnego Chrystusa Króla wieków. Największa godność na ziemi, największy zaszczyt, który mnie spotkał. Byłem niewypowiedzianie szczęśliwy w murach seminarjum.

Od młodości, przez cały przeciąg służby wojskowej starałem się iść drogą przykazań Bożych. Pacierza nigdy nie opuszczałem, nawet w czasie ognia huraganowego, spowiedzi wielkanocnej nigdy nie zaniedbałem, ile razy szedłem na front, lub na urlop z linji bojowej wracałem, zawsze się spowiadałem; będąc w kadrze, nigdy mszy św. w niedziele i święta nie opuszczałem, lecz teraz postanowiłem w sposób specjalny „zrzucić z siebie człowieka starego, a przywdziać się w człowieka nowego, który wedle Boga stworzony jest”. W ten świat nieznany, świat walki ducha, miały mnie wprowadzić tygodniowe rekolekcje, które zaczynały się wykłady teologiczne w Seminarjum.

Jakże się ucieszyłem, gdy na ambonie w kaplicy zobaczyłem O.O. Redemptorystę. Redemptorysta to przecież nauczał mnie 8 letniego chłopca na misjach w Jarosławiu, abym codziennie odmawiał 3 zdrowaś Marjo. Niezbadane są drogi pańskie myślałem.

Studjum było ciężkie, bo miałem 6 lat przerwy; trzeba było opanować język łaciński i nabrać wprawy w hebrajskim. W sali wykładowej i mieszkalnej bardzo słabo palono, a jedzenie było fatalne. Często w zupie grochowej pływały robaki a chleb był niedopieczony. Prawie zawsze wstawało się głodnym od stołu. Dlatego co dwa tygodnie dostawałem prowiant z domu. Do kaplicy chodziłem w ułance i z kocami, bo była nieopalona, a na ścianach zimą lśnił mróz. Studjowaliśmy jak żaki w średnich wiekach, jedząc strawę z blaszanych misek, na stołach nienakrytych obrusami, lecz podartą ceratą. Duch był jednak dobry i humor nigdy nas nie opuszczał, a wszyscy wykładowcy życzliwie się do nas odnosili, zwłaszcza do mnie, bo w oficerskim mundurze i w

ostrogach na wykłady przez miesiąc chodziłem. Prócz mnie było jeszcze kilku z wojny, a reszta o 6-7 lat młodsza od nas, którzy na nas patrzyli z szacunkiem i trudno ich było ośmielić, aby nam mówili przez ty.

Przyszedł czas egzaminów półrocznych i rocznych. Wszystkie noty miałem eminenter-bardzo dobre. Na wakacje wyjechałem do Ciechocinka, gdzie po starej znajomości otrzymałem bezpłatne kąpiele, a za staraniem proboszcza, księdza **Sowinskiego**, który znał mnie jeszcze z oficerskich czasów, zamieszkałem w willi „Irenie”, u pani **Hibnerowej**. Odwiedziłem też pułk po drodze, gdzie dostałem bezpłatny bilet wojskowy do Jarosławia.

Szybko upłynął czteroletni okres studjów; w ciszy i spokoju, bez intryg, wyrobienie duchowe pod kierunkiem ks. **Jana Grochowskiego** przynosiło piękne wyniki. **W maju 1924 r.** ks. bp. **Fischer** udzielił mnie i kolegom święceń kapłańskich. Na tej uroczystości była cała moja rodzina, oraz wielu ludzi z Tuczemp, którzy przyjechali wozami. Od niepamiętnych czasów nikt z Tuczemp nie był księdzem. Więc atrakcja była wielka. 8 czerwca 1924 roku odprawiłem w Tuczempach pierwszą, uroczystą mszę świętą. **Ks. Hajduk**, proboszcz, przyszedł po mnie do domu, z procesją z kościoła. Na progu domu uklęknąłem, prosząc rodziców o błogosławieństwo. W tej chwili płacz z radości powstał między ludźmi. Po mszy św. udzieliłem błogosławieństwa całej wsi i mieszkańcom wiosek okolicznych, którzy się liczni zgromadzili. Wielu z nich służyło w wojsku pod moim dowództwem. Gmina wystawiła dwie bramy tryumfalne. Tak to zmieniają się czasy, a przecież w 1919 r. skazano mnie na wygnanie ze wsi. Po nabożeństwie odbył się u mnie w domu obiad, w którym wzięli udział **księża z Łowiec, Chłopic, Radymna, Jarosławia, porucznik Kuźniar z Morawska, Stefan Myczkowski, Antoni Majewski, nauczycielstwo Sorysowie** i wszyscy krewni i sąsiedzi. Przyjechała też ciotka **Marja Padiakówna** ze Lwowa.

### **Tu obrazek z pierwszej mszy - dwustronnie**

Po kilku dniach pobytu w domu wyjechałem do **Łanowic obok Sambora**, do ks. **Zycha**, który był ongiś proboszczem w Tuczempach, a potem z powodu intryg niektórych drani – kolejarzy przeniósł się do Łanowic. Spędziłem z nim inwazję rosyjską, byliśmy razem narażeni na kule, na śmierć od bandy kozackiej, więc zżyliśmy się razem. Teraz chorował, więc postanowiłem mu pośpieszyć z pomocą. Odradzał mi jeden ksiądz profesor, mówiąc, że tam się w dziką swinię zamienię, bo towarzystwa żadnego nie ma, a proboszcz oryginał.

Po latach:

**Źle zrobiłem, że nie posłuchałem Rektora i jednego z prefektów, że nie opuściłem tej uczelni. Po wyjściu z niej znalazłem się w gronie faryzeuszy, czcicieli złotego cielca, typów o duszach sprzedajnych.**

Mimo to pojechałem. Mieszkanie było kiepskie, w zagrzybionej plebanji, kościół stuletni, drewniany, też zagrzybiony i bardzo ubogi. Pracowałem tam przez dwa miesiące w zgodzie z proboszczem pszczelarzem. Odemnie zależało co ma być podane na stół. Do nas obu powiadał należy majątek proboszczowski; siostra, która tu mieszka nic nie ma dogadania. Złote miał serce dla ubogich. Księdzem został w starszym wieku, po odbyciu trzy letniej służby wojskowej, dopiero zaczął chodzić do gimnazjum w Jaśle. Po dwu miesiącach musiałem go opuścić.

*W Przedzielnicy nie mogłem się zgodzić jako kapłan na warunki podyktowane przez zastępcę prezesa sądu lwowskiego pana **Serkowskiego** i podałem się do dymisji. Chciał abym był nauczycielem, a nie katechetą i uczył 2 godziny religii tygodniowo, zamiast 6 godzin. Obaj byliśmy na audiencji u ks. bpa. Fischera. Ks. bp. Stał na takim stanowisku jak i ja. Pan Serkowski zgodził się na 4 godziny ale bp. nie ustąpił. Zakład został bez księdza, a opiekę nad nim objął z Chyrowa ks. Konopka, który dojeżdżał tam w niedzielę. Ja przeniosłem się na wikarówkę w Dobromilu. Znowu zaczęła się tułaczka jak ongiś na froncie.*

W Dobromilu byłem katechetą 7 klasowej szkoły, a nadto miałem dwie szkoły na wsi, w Pietnicach. Dowiedziałem się, że za górami, za lasami leży wioska **Katyna Szlachecka**, gdzie jest



trochę rzymsko-katolików pozbawionych opieki polskiego księdza i przez to stają się Ukraińcami. Pożyczywszy wierzchowca od posła **Pawłowskiego**, pojechałem tam dwa razy, aby dzieci szkolne, choć raz zobaczyły polskiego księdza. Szkoda, że żadnemu z mych poprzedników nie przyszła taka myśl. Nie trzeba jechać do Afryki na misje i u nas są zakątki misyjne, gdzie ludzie czekają na słowo Boże z utęsknieniem. Z radcą **J. Obertyńskim**, ze starostą **Skoczyńskim**, wice - starostą **Gawendą** i mieszkańcami żyłem w bardzo dobrych stosunkach. Z nauczycielstwem i inspektorem szkolnym żyłem serdecznie. Na wizytacji ks. Fischer obiecał mi, że tam dłużej posiedzę, zwłaszcza, że jednego roku nie z mojej winy miałem trzy placówki. Po miesiącu dostałem jednak rozkaz wyjazdu na placówkę do **Jedlicza**. Katyna Szlachecka pozostała znowu bez opieki duchowej. Do Jedlicza przeniesiono mnie dlatego, ponieważ w tamtej parafii powstała **herezja hodurowców**, a ks. bp. uważał, że ja będę młotem na heretyków. Parafia liczyła 9 tysięcy. Zarazem jako wikary byłem kapłanem w Długiem, w majątku przezacnych hrabstwa **Bobrowskich**, gdzie co tydzień, w kaplicy odprawiałem mszę św. Heretyków imiennie wykląłem z kościoła, a gdy kto się nieodpowiednio zachowywał w kościele, wyrzucałem go za drzwi. Raz jednego, który mi przeszkadzał w kazaniu, i upomniany nie chciał wyjść z kościoła zszedłszy z ambony, uderzyłem w twarz i wyrzuciłem na schody kościelne. I św. Paweł groził, że laską żelazną przyjedzie zrobić porządek w jednym z kościołów. Raz po ślubie, jeden założył czapkę w kościele i wziął dziewczynę pod rękę. Uderzyłem go w twarz aż mu czapka spadła. Wtedy koledzy jego z Potoka, przyszli mu na pomoc i z nożami rzucili się na mnie. Schroniłem się do zakrystji i dość długo wytrzymałem oblężenie. Sprawa oparła się o sejm, o sąd, trwała dość długo. Ostatecznie bronili się, że byli pijani i zostali skazani na 6 tygodni więzienia.

W kościele w Polance, obok Krosna, mówiłem: "Nie rzucajcie pereł między świnię – Nie dawajcie psom świętego – napisane jest w Piśmie Świętym. Te słowa można odnieść do heretyków, hodurowców, w naszej parafji, którzy sobie zbór wystawili na świńskiej targowicy. Dobre wybrali miejsce, całkiem stosowne dla nich".

Ciężka to była placówka, ale owocna w pracę, bo dobrzy katolicy się cieszyli, że nareszcie znalazł się ktoś, kto robi porządek w kościele. Po roku walk, wszystko się uspokoiło. Założyłem tam koło młodzieży, ku wielkiemu zadowoleniu ks. bp. Nowaka i otrzymywałem pochwały za skuteczne nauczanie religji w szkołach. Przez kilka tygodni byłem administratorem dojeżdżającym parafji w Łubienku pod Żmigrodem. Gdy stamtąd odjeżdżałem i żegnałem się z nimi płacz ogromny powstał w kościele. Poznałem tam miłych właścicieli dóbr **Przyłęczkich**, z którymi się zaprzyjaźniłem.

Przez 3 lata byłem w **Jedliczu**. Współżycie z miejscową inteligencją nie pozostawiało nic do życzenia. W każdym domu czułem się jak u siebie, a oni tak samo u mnie. Ponieważ ks. bp. postanowił usunąć proboszcza, który był przekonany iż stało się to za mą przyczyną, nie chciałem z nim mieszkać pod jednym dachem i jeść przy jednym stole, dlatego poprosiłem o przeniesienie.

Przyjechałem do zagłębia naftowego i z trudem znalazłem mieszkanie w norze jednego robociarza, z dala od szkoły i kościoła. Byłem bardzo zniechęcony, tylko proboszcz ks. **Karaś** podtrzymywał mnie na duchu. Zorjętowałem się, że wpadłem z deszczu pod rynnę. W Jedliczu prowadziłem walkę z opryszkami, prostakami, tu wpadłem w opresję kapitalistów i karierowiczów, którzy założyli gimnazjum, aby było fabryką dyplomów dla ich potomków męsko- żeńskich jołopów, często umysłowo upośledzonych. Całe grono, zależne od komitetu rodzicielskiego musiało lawirować, aby się tym kacykom nie narazić. Ja szedłem drogą prostą, nie popierałem dzieci bogaczy, ale też nie pozwalałem krzywdzić dzieci robotników. Stąd oburzenie na mnie, że ja się nie nadaję na katechetę, bo mnie ich córki nie kochają. Pojechałem do ks. bpa. I przedstawiłem całą sytuację, mówiąc, że poszedłem tam nie na kochanie, lecz na nauczanie i że nie mogę się zgodzić na ich żądanie, aby w niedziele robić wycieczki i zamiast mszy św. pomodlić się na łonie natury i zaśpiewać „Kiedy ranne”, jak to czasem, za tamtego dobrze wychowanego, miłego katechety bywało. Wkrótce cieszyłem się sympatją uczniów, uczennic i całego grona, bo przekonali się, że nie jestem tak zły, za jakiego niektórzy chcieli mnie uważać. Z pracy wychowawczej byłem zadowolony, założyłem Sodalicję Marjańską, jeździłem z młodzieżą na wycieczki w Pieniny, na wystawę poznańską, nad morze. Uczniowie odnosili się do mnie jak dokolegi, ani uczennice, ani

uczniowie nie mieli żadnych tajemnic przede mną, zasięgaliby rady w różnych poufnych sprawach.

Miałem tylko trzech wrogów, których córki nie sympatyzowały ze mną. Oni to, zawsze grzecznie się ze mną witali, do ziemi się księdzu profesorowi kłaniali, a poza oczy pisali na mnie skargi do biskupa. Biskup wydelegował dziekana na wizytację. Dziekan wydał o mnie jak najlepszą opinię. Pojechałem do ks. bpa. I tam zobaczyłem prośbę tych panów o moje przeniesienie. Biskup jednak zdecydował, że mam dalej trwać na stanowisku. Po roku przyjechał do Borysławia i oświadczył mi, że skargi ustały. Tymczasem zdarzyło się, że syn jednego z magnatów naftowych, bratanek ambasadora przy rządzie francuskim nie zdał matury. Kto winien? Nie uczeń-osioł, ale kierownik gimnazjum i ksiądz, bo gdyby oni chcieli, to on zdałby maturę. Więc poszedł w odstawkę dyrektor, mąż zacny, sprawiedliwy, człowiek nauki, a w jego miejsce przyjęli eks porucznika, zwolnionego ze szkoły kadeckiej ze Lwowa, aksamitnego-jak powiadali, który by im szedł na rękę. Mnie zwolnić nie mogli, bo zaraz po przyjeździe oświadczyłem, że kontraktu z nimi nie podpisuję, lecz pozostaję na prawach takich jak inni profesorowie, aż do odwołania mnie przez ks. biskupa. Rok jeszcze (trzeci) pozostałem. Tymczasem zbliżała się matura córek kacyków miejscowych. Strach padł na ojców, abym im nie szkodził przy maturze. Zaczęli w porozumieniu z nowym dyrektorem robić starania o me przeniesienie, ale nie mieli mi co zarzucić. Zostałem do matury. Po maturze, biskup przyjechał na wizytację i widać było u niego nastrój nieprzychylny dla proboszcza i dla mnie. Tak go zdołali nastawić ci, którzy rej wodzili wówczas w Borysławiu. Proboszcz ks. Karaś, który w piekle borysławskim przez 25 lat ciężko pracował i bardzo zniszczył nerwy, zmartwił się takim zachowaniem się biskupa, dostał zapalenia mózgu i umarł, ja zaś podałem się do dymisji, którą biskup przyjął milcząco.

Dziekan drohobycki obiecywał mi, że dostanę posadę katechety w państwowym gimnazjum, gdzie rodzice nie będą mi robić żadnych wstrętów.. W tej nadziei wyjechałem do Lubienia pod Lwów na kąpiele. Ale sprawdziło się powiedzenie, że nadzieja jest matką głupich, bo otrzymałem pismo biskupie, że **jestem mianowany wikarym w Łańcucie**. Mogłem się temu oprzeć, że jest to posada nie równorzędna i jako ubezpieczony w Związku pracowników ....., mogłem brać ze związku pełne pobory jakie miałem w gimnazjum, przez 9 miesięcy, bo takie było prawo, ale zrezygnowałem z tej opozycji, aby nie okazać się nieposłusznym, gdyż przy święceniach obiecałem posłuszeństwo ks. biskupowi Fischerowi i jego następcom. Czyż miałem tańczyć tak jak grali kacyki, których bogiem pieniądza, brzuch i cudza żona? Czy miałem zatrzymać dzieci na egzorcizmie i w kościele, czy iść z nimi do lasu i modlić się o wschodzie słońca na łonie natury, czy miałem brać kubany i sprzedać moje sumienie i patrzeć na demoralizację uczniów i grona? Niestety, sumienie uczciwego człowieka nie pozwalało mi na to, tak jak i panu **Gerstmannowi**, dyrektorowi. Kiedy przy sposobności przyszedłem do Kurji biskupiej w Przemyślu i zastałem tam radców zdążających na sesję, zapytałem, jakie zarzuty mają przeciwko mnie?

Księżę Józio mówił jeden prałat, ja nic nie jestem winny, to pewnie polityka, bo tam jest poseł; drugi mówił - ksiądz przecież wie, że teraz obsada posad zależy nie od nas, lecz od kapelana; a trzeci powiada - trzeba było nic nie robić i cicho siedzieć. Spóźnione uwagi odpowiedziałem, trzeba mnie było tak wychować. Inaczej żeście mnie wychowali. Nie zostałem księdzem od interesu, nie poszedłem na teologję na rozkaz ojca czy matki, miałem ładne stanowisko w państwie. Proszę mi nie przeszkadzać w zwolnieniu się z diecezji. Na tem zakończyłem przemówienie.

Słuchać się nauczyłem w wojsku, usłuchałem i tym razem; przy pomocy kierownika kopalni **Plucińskiego**, zapakowałem me rzeczy, wyjechałem do Łańcuta, myśląc sobie, że gorsze przeżywałem przejścia; nie skarżyłem się, wiedząc, że jest nad nami Ten, który i biskupa będzie sądził. Bogu sąd zostawiłem i nie zawiodłem się. Biskup poszedł na sąd Boży, a moi wrogowie w Borysławiu zostali pohańbieni. Za jakiś czas pojawił się artykuł w prasie, ubolewający nad stanem gimnazjum, mówiący że dyrektora Gerstmanna i katechety – kapitana lepsze były czasy.

Po kilku latach, gdy odwiedziłem Borysław, zastałem z dawnego grona, trzech jeszcze niedobitków, którzy nie chcieli się już w inne strony przenosić, a mój następca, katecheta był bardzo niezadowolony.

**Przyjechałem do Łańcuta;** wikarówka tam uchodzi za najlepszą w diecezji. I w rzeczy samej, miasto powiatowe, stacja kolejowa w miejscu, pociągi pospieszne, kościół piękny, plebanja mniej

sympatyczna, bo budynek poklasztorny po Jezuitach od lat 30 nie odnawiany, ale w porównaniu z innymi placówkami odległymi od toru kolejowego, gdzie djabeł dobranoc powiedział – placówka wymarzona. Na samym początku, stary 70 letni proboszcz, prałat **Mazanek**, mąż uczony, dawny inspektor szkół, który w Małopolsce wznosił szereg szkół i w Łańcucie seminarjum nauczycielski żeńskie wybudował własnym kosztem i przez lata długie był w nim dyrektorem, powitał mnie serdecznie. Po jakimś czasie obserwowania mnie, pyta prałat, czy mnie kto z Kurji nie uprzedzał do niego, bo już jeden taki wypadek zaszedł. Ja nie będę Księdzu Prałatowi gwoździem do trumny powiedziałem, choć rozeszła się o mnie pogłoska, że usunąłem proboszcza z Jedlicza. Jednak obawiam się czy dam sobie tu radę, bo chociaż jest trzech wikarych, ale parafja wielka, służbę co trzeci tydzień trzeba pełnić dzień i noc, a ja w okopach nabawiłem się reumatyzmu i właśnie wracam z kąpieli, z których już 10 rok korzystam. Zresztą zawiodłem się w moich marzeniach i prawdopodobnie wyjadę na misje w dzikie afrykańskie kraje, bo mi pseudokultura i europejska pseudo cywilizacja obrzydła i czasem żałuję, że nie zginąłem na wojnie.

Prałat jak stary wyga – filozof, któremu już nie raz zalali sadła za skórę, pokpiwał zawszeprzy obiedzie, a wieczorem graliśmy w karty. Czas schodził wesoło, roboty było dość, nie było czasu na zmartwienia.

W Bogu od czasu, gdy doszedłem do używania rozumu, położyłem nadzieję i nie zawiodłem się, po raz nie wiem który. Spełniły się moje marzenia, **zostałem kapelanem armji do której powstania też w maleńkiej części się przyczyniłem mym znojem i krwią**. Placówkę dostałem wymarzoną w zakątku, zwanem polską Szwajcarią. Wprawdzie z dala od świata, bo pociąg już dalej nie dochodzi, z dala od miasta, na polu, ale tam bliżej Boga, który przemawia w ciszy i spokoju. Parafja wojskowa – rzymsko – katolicka w **Krzemieńcu – 12 pułk Ułanów Podolskich**, oto me miejsce pobytu od 1 maja 1932 roku.

Kościół w koszarach, z cerkwi przerobiony, doprowadziłem do porządku. Za mych czasów wstawiono 2 ołtarze, główny i boczny, bo jeden boczny zastałem, ambonę, zaprowadzono elektrykę, zaciągnięto dzwon i sygnaturkę, urządzono wieżę kościelną i chór, wstawiono wiele szyb.

Atmosfera była miła i pociągająca. Gromadzą się w niej nie tylko ułani i rodziny wojskowe, lecz także katolicy z okolicznych wiosek. Po dwuletniej pracy nauczyli się śpiewać litanję do M.B. w czasie majowego nabożeństwa, oraz kilka najpotrzebniejszych pieśni. Z początku miałem wrażenie, że jestem wśród dzikusów i nie można było przez maj 1932 odprawić nabożeństwa majowego. Teraz wciągnęli się w chodzenie do kościoła i śpiewanie.

Kiedy odwiedziłem szkoły okoliczne, dzieci witały mnie pozdrowieniem „dzień dobry”. Nauka religji katolickiej była całkiem zaniechana, stwierdziłem to z bólem serca. Wziąłem się zaraz do pracy, aby w maju i czerwcu nadrobić materiały za cały ubiegły rok co mi się udało i urządziłem spowiedź i komunię świętą. Tym, którzy pierwszy raz przystąpili do komunji świętej rozdałem duże obrazki, które mi jeszcze z dawnych czasów pozostały. Do szkoły w **Liszni** daleko położonej, jeździłem konno kilka razy, bo tam nauczycielka dobrze uczyła religji.

Jesienią 1932 roku zostałem przydzielony do **43.p. p.Bajończyków** na manewry. I oto znowu znalazłem się tam, gdzie po raz pierwszy w roku 1916, wziąłem chrzest ogniowy, jako kadet, gdzie w 1919 roku, walczyłem z bolszewikami – pod **Kiwercami** i **Rożyszczem**, jako porucznik.

Pluton techniczny wystawił ołtarz polowy i przez cztery niedziele odprawiałem mszę świętą na tem miejscu, gdzie kilka lat temu zmagaly się wojska, gdzie wybuch granatów zapełniał jękiem powietrze, gdzie lała się krew, gdzie konali w mękach żołnierze. W pobliżu odkryliśmy dwa opuszczone, zarośnięte cmentarze wojskowe, które doprowadziliśmy do porządku, ogrodziliśmy i ustawili na grobach brzożowe krzyże. Tak to stary żołnierz pamięta o swych kolegach, którzy padli w ciężkim boju. W każdej mszy świętej modłę się za tych, którzy zginęli na wojnie, zwłaszcza za tych, którzy padli pod mojem dowództwem, a jakieś dziwne, rozdzierające serce i tkliwe uczucie opanowywało mnie, gdy mszę odprawiałem na dawnym polu walki.

## 1935

W marcu 1935. z dziekanem krzemienieckim **ks. mgr. Studzińskim** wybrałem się wózkami do kościoła w **Katerburgu**, na granicę polsko – sowiecką, na 40-godzinne nabożeństwo. Wracaliśmy

nocą, wśród burzy z piorunami. Koń się spłoszył. Było niemożliwym wstrzymać konia. Wywaliliśmy się w szalonym pędzie na kupę kamieni przy szosie. Nastąpił wstrząs mózgu, następnie zapalenie mózgu. Przed niedzielą Palmową sanitariusz odwiózł mnie do szpitala w Łodzi. Po kilku dniach sanitariuszka odwiozła mnie do Centrum Wyszkożenia Sanitarnego w Warszawie.

**Bóg cudem zachował mi życie.**

**Komisja wojskowa lekarska przy M. S.Wojsk. 12.XII 1935. orzekła, że jestem stale i trwale niezdolny do służby. Procent niezdolności 95. Musiałem opuścić placówkę w Białokrynicy. Opuściłem bez żalu Białokrynice.**

## 1936

Z dniem 29.II.1936 r. przeniesiono mnie „w stan spoczynku” a 29.X.1936 r. wyznaczono mi 103 zł,- emerytury, zaliczając tylko 7 lat i 8 miesięcy służby. Nie zaliczono mi służby austriackiej, ani wyższych studiów, ani pracy w gimnazjum w Borysławiu. Odwołałem się od niesprawiedliwego wymiaru, napisałem do marszałka Rydza-Śmigłego z którym dwa razy grałem w bridża w kasynie i z którym dwa razy spotykałem się na manewrach. Rozpatrzone moją prośbę i 21.II.1938. Zaliczono mi 15 lat i 2 miesiące, wyznaczając 138 złotych emerytury. Służby austriackiej dalej mi nie zaliczono. Miało to nastąpić jesienią 1939 roku, niestety wojna przeszkodziła.”Wielu doznało poniżenia i pogardy, tam właśnie, gdzie sobie obiecywali znaleźć spokój i zadowolenie i zdrowie.”Dzięki **Ignacemu Misiągowi**, studentowi jarosławskiego gimnazjum a memu starszemu koledze, pochodzącemu z Tywonii pod Jarosławiem, z którym pełniłem służbę wojskową w 90 p. p. armji austriackiej i w 14 p. p. armji polskiej, przeniesiono mnie po 1 ½ rocznej służbie kapelańskiej, z tymczasowego, na stałego kapelana i w ten sposób uzyskałem prawo do emerytury. Inni kapelani czekali na mianowanie ich stałymi przez 5 i więcej lat. Misiąg był szefem Biura Personalnego M.S. Wojsk. W roku 1939 dostał się do niewoli niemieckiej, ranny w nogę. Po odjęciu nogi wywiązało się zakażenie i zmarł w niewoli. Rydz-Śmigły, marszałek uciekł z obozu w Rumunii w przebraniu cywilnym, razem ze znanym mi jego adjutantem majorem Krzeczowskim i zmarł w Warszawie pod okupacją w 1941 r. jako nauczyciel o przybranym nazwisku. Tak skończyli życie moi dwaj przyjaciele.

Zamieszkałem na ojcowiznie, a domu, który zbudował mi ojciec za me pieniądze, w 1935 roku.

Na zakończenie mej działalności duszpasterskiej wystosowano do mnie kilka urzędowych papierków z banalnymi formułami i pieczęciami. Wróciłem do środowiska, z którego wyszedłem, na rolę ojczystą. **Oddałem się w 18 roku życia Polsce ciałem i duszą.** Koledzy i ja uważaliśmy się w latach 1914 – 18 za polskich żołnierzy i oficerów w armji austriackiej, a nie za austriaków. **Wywalczyłem granice Rzeczypospolitej krwią i znojem**, dwukrotnie ranny, chory na zapalenie opłucnej i na tyfus brzuszny z głodu. Potem walka z burżujami w Borysławiu, którzy robotników uważali za swe pastwisko i wiele, wiele innych trudności.

**I co za to dostałem ? Nic!!!**

Wyrzucono mnie z pamięci, nikt się nie zatroszczył o to gdzie będę mieszkał i co będę jadł. Została mi chata na odludziu, samotne dni i samotne noce i pamięć o tem co przeminęło. „Byłem jakoby nie był, pozostał mi tylko grób”. „Pozostał mi tylko grób”, bo i chatę pustelniczą musiałem opuścić w lutym 1947 roku i iść na dalszą tułaczkę.

**Niezbadane są sądy Boże”.Niedościgłe są drogi Boże”.**

Dzięki chorobie i zwolnieniu z wojska, mogłem rodzicom pomagać w codziennym życiu, leczyć chorą na raka matkę, opiekować się ojcem i obojgu urządzić pogrzeb. Matka zmarła 17.05.1942, a ojciec 14.03.1944, za okupacji. Gdybym był nie zachorował, pochłonęłaby mnie zawierucha wojenna i albo zginąłbym w **Katyniu**, jak kapelan gimnazjum w Jarosławiu, jak dowódca Korpusu D.5K.II.Lublin, do którego to korpusu należałem, jak w Katyniu zginęli moi znajomi i koledzy szkolni. Albo byłbym zmuszony z brygadą generała **Andersa**, do której byłem przydzielony w latach 1932 – 1935, brać udział w bitwach w Afryce i we Włoszech, gdzie wielu naszych zginęło. Dziękuję Bogu, że nasłał na mnie chorobę, która mi pozwoliła być przy śmierci rodziców. Od czasu choroby matki brat, który uniknął mobilizacji w 1939, jako pracownik zakładów lotniczych w

Rzeszowie, gotował mi jedzenie, aż do lipca 1939 roku. W tym czasie brat Stanisław zaczął pracować w Szczecinie w Hucie Żelaza jako maszynista, a mnie gotowała córka sąsiada, gdyż siostra nie chciała się zgodzić na gotowanie mi i pranie, choć za to chciałem jej oddać dom i morg ogrodu. Z trudem przyszło mi zdobywać prowianty. Gdy przez grzeczność sąsiad zmełł mi moje zboże we młynie, musiałem szukać we wsi kogoś, kto by mi mąkę wymienił na chleb. W czasie mej nieobecności mój brat Jan ukradł mi konia, uprzęż, pług, brony, niepomny na to, że mu przed 1935 rokiem dałem na budowę domu 400 złotych, nadto na spłacenie rat na pług, na konia; dałem mu kilkaset złotych. Siostrze zbudowałem stajnię z cegieł 5 x 9 m; kupowałem jej ubrania przez kilkanaście lat, że chodziła ubrana jak żadna we wsi. Tak mi się oboje z bratem odwdzięczyli, płacąc najczarniejszą niewdzięcznością. Dom i pole z ogrodem oddałem obcym, w złe ręce, ale nie miałem innego wyboru. Siostrze i bratu nie mogłem oddać, bo ojciec mnie prosił, abym im nie dał ogrodu, gdyż matkę i ojca ciężko obrażali i czekali na ich śmierć. Ojciec i matka robili usiłowania, aby odebrać siostrze pole i dom jej zapisane. Bardzo wiele miałem przez to kłopotów i musiałem ojca wozić do starostwa do władz niemieckich na skargę. Urzędnik niemiecki zagroził siostrze obozem. Nie pomogło!

### 1947

Wczytałem w grudniu ubiegłego roku w „Rycerzu Niepokalanej”, że Prowincjał Bonifratrów potrzebuje księży. Zgłosiłem się do Krakowa do urzędu prowincjałskiego i **zostałem przyjęty jako zakonnik Tercjarz do zakonu szpitalnego Bonifratrów. Na dwa dni przed wyjazdem, 11 lutego 1947 roku o godzinie 12 w nocy zapalił mi się dom.** Boso, w białej, stałem na śniegu i patrzyłem jak płomień niszczyć pracę mego życia. Dwoje ludzi ratowało dom, a płomień objęły cały facjat i ścianę i powałę. Zbiegli się sąsiedzi na pomoc. Dom nadpalony ocalał cudem. Ale jeszcze większy cud dokonał się w mej duszy, bo ogień płonącego domu wypalił w mej duszy wszelką niechęć do tych, którzy mi bardzo dokuczali. Tak to me zaślubiny z Zakonem odbyły się przez ogień. Wtedy poczułem w duszy, że pozostał mi na świecie tylko Bóg. Wszyscy mnie opuścili.

W ciężkich warunkach odbyłem podróż do Krakowa w wagonie bydłowym. Przeleżałem kilka dni na sali chorych. Dnia 1.III.1947 roku nałożono mi wśród przepisanych ceremonij szkaplerz zakonny i pas rzemienny. 6.III objąłem placówkę Bonifratrów w **Iwoniczu**, szpital dla nieuleczalnych i umysłowo niedorozwiniętych. Tam pracowałem jako kapelan i jako Sekretarz „Domu Opieki” utworzonego w Zakładzie Bonifratrów przez Wojewódzki Urząd Opieki Społecznej. Warunki życia były ciężkie, nie takie, jak sobie marzył J. Knapik autor wiersza :

Chciałbym ja kiedyś tyle zdobyć w życiu,  
by być szczęśliwym, ale szczęściem własnym,  
osiąść gdzieś w cichym pokoiku ciasnym  
z dala odludzi, w nieznanym ukryciu  
i snuć swe myśli, stale, nieprzerwanie,  
o Tobie Wielki, wiekuisty Panie.

W około siebie mieć klasztorne ściany,  
tylko na biało wapnem pobielone,  
okno w dalekie strony zapatrzone,  
a zwykły tapczan z desek pozbijany.  
I myśli swoje kierować do Ciebie,  
Panie mój wieczny, na ziemi i niebie!

Spożywać czerstwy chleb, oraz pić wodę,  
czerpaną prosto z szumiącego źródła,  
i tak rozmyślać o Tobie w spokoju,  
a mękę syna mieć na swą ochłodę.  
Bo w takim życiu i wśród takiej ciszy,

dopiero człowiek własne szczęście słyszy.

I ja tak marzyłem jak autor wiersza, zamierzałem osiąść w klasztorze Dominikanów lub Reformatów w Jarosławiu. Przełożeni tych klasztorów obiecali mi w 1935 roku postarać się u Prowincjałów o pozwolenie na zamieszkanie w klasztorze, ale obietnic nie dotrzymani. I tu znowu widzę zrządzenie Boże, bo jesienią 1939 roku zakonnicy obu klasztorów i mój katecheta gimnazjalny, który mieszkał u Reformatów, zostali wysiedleni przez Niemców za San. I mnie byłoby to spotkało i nie miałyby kto rodzicom pomagać. Ale wracając do wiersza „Jedno z marzeń” stwierdziłem, że wszystko jest ładne, piękne, przyjemne, ale tylko w marzeniach, bo rzeczywistość jest łagodnie się wyraziwszy, wstrętą. Generał **Jarosz**, określiliby to słowem **:zasrana**. Miałem w Iwoniczu wapnem bieloną celę. Miałem w Iwoniczu widok na 7 wzgórz lasem krytych, byłem z dala od tak zwanego świata, od polityki, od zebrań, od znajomych, mieszkałem w sąsiedztwie Nieśmiertelnego Króla Wieków.

Zbierałem w ogrodzie kamienie i trawę i wywoziłem taczkami poza ogród. Uszczelniałem parkan, aby kury nie wchodziły do ogrodu, karczowałem pniaki zmarzniętych drzew, wycinałem chwasty, podlewałem ogórki, pomidory, dopasowywałem ramy okienne, uszczelniałem kielnią murarską wapnem, cementem i piaskiem otwory na zewnątrz ram okiennych, zabijałem deskami otwory okienne, w których nie było okien, dwa dni od rana do nocy siedziałem w złej pogodzie w chlewiku i notowałem czas młócenia maszyny i zapisywałem ilość kilogramów zboża, jeździłem do młyna mleć zboże, grabiłem słomę i plewy na boisku, zamiatałem korytarz i kaplicę. Wylizywałem ilość desek i legarów potrzebnych na podłogę do stajen, zestawiałem rachunki przychodów i razchodów od stycznia 1947 do listopada 1947, zestawiałem rachunki do Opieki Społecznej w 3 egzemplarzach i rachunki do Starostwa, województwa, Ministerstwa Opieki Społecznej, goliłem starca 80-letniego. Jeździłem 11 kilometrów do magazynu Opieki Społecznej w Krośnie po suchary dla podopiecznych, po odbiór zasiłków z Opieki Społecznej. Chodziłem kilka kilometrów do stolarza aby mu zapłacić za robotę. Chodziłem godzinami po łące dworskiej, aby wybać wielkość trawy, która miała być zakupiona dla bydła konwentu. Oddawałem swą emeryturę przeorowi i pieniądze otrzymywane jako ofiarę na msze święte. Postarałem się o 60 metrów bieżących rur do gazu, o przydział lekarstw z P.C.K., o przydział lekarstw i mąki pszennej amerykańskiej i wina mszalnego i innych rzeczy z „Civitas” w Przemyślu. Za to przeor odpłacił mi się najczarniejszą niewdzięcznością. Raz wieczorem w maju, gdy zacząłem w czasie wieczery jeść kapustę, przyszedł posłaniec z plebanii, abym szedł natychmiast odprawić nabożeństwo majowe, gdyż nie ma oni proboszcza, ani wikarego. Zostawiłem łyżkę w misce i natychmiast poszedłem. Gdy z kościoła wracałem, zastałem o godzinie 8.30 zamknięte przez przeora drzwi wejściowe. Na dobijanie się do drzwi, przeor nie odpowiadał. Jeden z braci rzucił mi klucz przez okno. Podobny wypadek miał jeszcze miejsce dwa razy. Musiałem szukać brata zakonnego u sąsiadów, aby mi otworzył drzwi. W ten sposób przeor głupi-matolek, o 4 klasach szkoły powszechnej okazywał swą władzę. Raz usiłował mnie pouczać jakie modlitwy mam odprawiać po mszy, ale wykazałem mu jego głupotę. Ile razy zobaczył przez okno, że jakiś gość idzie, zamykał się w celi, a ja musiałem przyjmować gościa na koszt własny. Raz przyjechała komisja lekarska złożona z prezesa sądu grodzkiego i 2 lekarzy; innym razem komisja do otwarcia stacji gazowej, 6 osób, które musiałem gościć. Raz wyjechał na 2 tygodnie i zostawił wyżywienie 13 osób – 90 dkg słoniny. Gdy wyjeżdżał, najstarszy z braci nie przyjął klucza od magazynu i spiżarni. Zostawił klucz mnie. Najstarszy z braci skarżył się, że przeor pod jego nieobecność otworzył celę i skradł mu koszulę. Drugiemu bratu skradł skórę na buty. Wydałem pokrzywdzonym bieliznę, oraz drugiemu skórę. Za to przeor oskarżył mnie do Prowincjała. Prowincjał zapytał mnie, dlaczego bracia nie prosili przeora o wydanie bielizny i skóry? Odrzekłem, że nie mają zaufania do złodzieja.

Przeglądając obuwie -8 par-otrzymane od „Opieki Społecznej” z Krosna, zauważyłem, że brakuje dwu par obuwia. Z tego braku nie umiał się wytłumaczyć. Nie wszystkie kwoty pieniężne, które mu dawałem wpisywał do książki dochodów. Nie wpisał 1.100 zł,-, które mu dałem. Nie wpisywał wszystkich kwot, które mu kwestarz uzbierał, mówiąc, że tych kwot nie dostał do ręki, ale wpisywał w rozchód kwoty, na które mu kwestarz przyniósł kwity. W ten sposób niedobór wzrósł

od 1.I.1947 do 1.X.1947 na 72.000 złotych. Aby ten niedobór pokryć w księdze głównej kazał mi wpisywać zmyślane kwoty z dochodów gospodarstwa rolnego i inwentarza żywego. Mówiłem przeorowi, że tak dalej być nie może, że wydatki nie mogą być wyższe od dochodów, że nie będę nadal niszczył kwitów rozchodowych, ani wpisywał nie istniejących dochodów.

Jedzenie 3 razy dziennie było nie wystarczające. Podopieczni skarżyli się na niedożywienie. Zauważyłem, że dawał mydła podopiecznym i za swe pieniądze kupiłem im mydło. Dożywiałem się konserwami, otrzymywanymi od znajomych, a 2 bracia chodzili do knajpy, by zaspokoić głód. W czasie przenoszenia magazynu z celi przeora w przybudówce do gmachu głównego jeden z braci zwrócił mi uwagę na wiele pustych puszek blaszanych unrowskich z ciastek i cukierków oraz papierosów. Zawartość zabrał przeor złodziej. Mnie też okradł. Napisałem prowincjałowi, że żydowi sprzykszyła by się służba u takiego "pana" - przeora. Prowincjał wiedział o jego postępowaniu, bo wysyłałem mu meldunki sytuacyjne z „Diablego Młyna”, jak nazwałem konwent Iwoniccki. Przeciągi w mieszkalnych celach były ogromne. Wiatr wywalił w dwu celach drzwi z futrynami. Zaleczony w 1939 roku w Horyńcu zawijaniem borowinowymi reumatyzm stawów, znowu bardzo boleśnie zaczął mi dokuczać. Musiałem się leczyć w Iwoniczu Zdroju. Odległość do pokonania wynosiła 5 km. Były tylko 2 autobusy, wcześniej rano i późnym wieczorem. Aby nie głodować cały dzień, chodziłem piechotą. W takich warunkach się leczyłem, bo chamski łeb nie dawał mi konia na wyjazd. Czasami jeździłem autobusem i wtedy zatrzymywałem się w mieszkaniu znajomego szefa PCK.

Dość sąsiadów chodziło do kaplicy na msze św. w niedziele i święta. Choć prowincjał zakazał zbierania składek po kaplicy, chytry przeor każdemu podstawiał tackę pod nos. W marcu 1947 r. dał mi celę 6 metrów kwadratowych, a często dotykał pieca, czy się za dużo węgla nie spaliło, zaś jednemu z braci robił awantury, że spala dużo węgla i drzewa na podpałkę, a w pokoju tego brata było zawsze chłodno. Swą bluzę wojskową dałem do pracy na polu jednemu z braci, bo przeor nie chciał mu wydać bluzy z magazynu. Nic dziwnego, że w takich warunkach 2 braci prawie zawsze piło w pobliskim szynku, a proboszcz mówił, że Bonifratszy skandal przynoszą parafji. Najbardziej, mnie oburzył następujący wypadek: w październiku 1947 r. wieczorem, przyszedł jeden z mieszkańców i prosił aby kto z Bonifratrów udał się do ciężko rannego przez auto małego chłopca. Jeden z braci poszedł na wieś "zastrzyki dawać", a przeor poszedł na plotki do sąsiada. Posłałem do sąsiada po przeora. Przeszedł, ale powiedział, że do rannego nie pójdzie, bo nie ma kluczy od apteki. Powiedziałem, że daję gazę i wodę utlenioną do oczyszczenia ran. Przeor udał głuchego i nie poszedł. Gdy mu robiłem ostre wymówki, milczał, a jego niby zastępca powiedział, że to nie jest zakres działania przeora. Wtedy wyrzekłem do obydwu takie słowa, jakich chyba nikt nie powiedział do Bonifratrów. Pojechał przeor do Krakowa do prowincjała. 15 listopada 1947 r. otrzymałem rozkaz opuszczenia Iwonicza. Choć miałem grypę i stan podgorączkowy i choć padał deszcz, udałem się w podróż uciążliwa do Krakowa, gdzie przeleżałem 3 dni w gorączce i w tym stanie udałem się w dalszą drogę. Po 19 godzinach jazdy i czekania wylądowałem chory na nowej placówce Bonifratskiej.